

Sławomir Tomasz Roch
rycerzniebieski@wp.pl

„[...] jak zwykle dyskutowaliśmy o tej niełatwej, naszej sytuacji i pamiętam z tamtych dni, następującą historię, którą opowiadali, albo moi rodzice, może rodzeństwo, a może jeden z naszych gości, w każdym razie, było to tak: *„W każdej wsi ukraińskiej, gdzie była wdowa, otrzymała polecenie, aby upiec siedem chlebów, a następnie roznieść do siedmiu wiosek, do domów, gdzie także mieszkały ukraińskie wdowy, a one znowu piekły i roznosiły dalej tak samo, jak te pierwsze. Potem zrodziło się w naszej polskiej społeczności słynne powiedzenie: ‘Gdzie piekły, tam siekły!’*”. W opinii mojej rodziny, to roznoszenie pieczonych bochenków chleba, było znakiem rozpoznawczym do mordowania polskiej ludności, zresztą nie tylko my tak sądziliśmy, ale ogół naszych wołyńskich rodaków. [...]” Helena Wójtowicz ps. „Dama”

WSPOMNIENIA HELENY WÓJTOWICZ Z D. KARBOWIAK Z OSADY BUDKI KOHYLEŃSKIE W POW. WŁODZIMIERZ WOŁYŃSKI NA WOŁYNIU 1930 – 1944

Nazywam się Helena Wójtowicz z d. Karbowskiak, mam 79 lat, mieszkam w mieście Nowa Sól, przy ul. Ludwika Waryńskiego 4/9, powiat Nowa Sól, woj. Lubuskie. Urodziłam się 04 kwietnia 1925 r. we wsi Barbarówka w pow. Włodzimierz Wołyński. Mój tatuś miał na imię Władysław Karbowskiak, jego rodzice to Seweryn i Teofila z d. Grzegorzcyk. Moi rodzice przyjechali na Wołyń w roku 1921, bowiem mój tatuś był Legionistą i walczył pod rozkazami Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego. Za zasługi poczynione dla Ojczyzny, został zaliczony do grupy wyróżnionej przez nadania ziemskie i tak właśnie, moi rodzice trafili na Wołyń. Tatuś zostałem zatem osadnikiem na Kresach Rzeczypospolitej. Ponieważ jednak, nie był z powołania rolnikiem i nie ciągnęło go, do uprawiania ziemi, zgodził się zostać gajowym w Lesie Kohyleńskim. Tymczasem rodzice tatusia pozostali w rodzinnej wsi Jeziórka, powiat Grójec pod Warszawą. Moja mamusia miała na imię Jadwiga i była z domu Borkowska, jej rodzice to Walenty i Katarzyna z domu Kaczyńska. Rodzina Borkowskich także pochodziła ze wsi Jeziórka, powiat Grójec na Mazowszu. Mama Jadwiga, będąc jeszcze młodą dziewczyną, tam właśnie poznała i pokochała mojego tatę i tam też przyjęli Sakrament małżeństwa. Wkrótce potem wyjechali na Wołyń w swoje nowe miejsce zamieszkania, a razem z nimi przyjechała, najstarsza nasza siostra Irena, urodzona 19 lipca 1919 r..

Wydaje się że rodzice nie specjalnie tęsknili za Mazowszem, ziemia tam była prawdopodobnie byle jaka, więc gdy nadarzyła się okazja, zdecydowali się wyjechać. 06 lipca 1923 r. na świat przychodzi ich druga córka Władysława, urodzona na kolonii Barbarówka, gdzie tymczasowo zatrzymali się rodzice. Niedługo później, w roku 1925 narodziłam się właśnie ja, a już półtora roku później, mianowicie 28 września 1926 r., nasza kolejna siostra Marianna. Ta jako pierwsza przyszła na świat, już w gajówce, w naszym nowym miejscu zamieszkania w Lesie Kohyleńskim. Lasy Kohyleńskie należały do Żyda o nazwisku Kac i tatuś zgodził się pracować, także dla niego jako gajowy tym baradziej, że jego młodszy brat również otrzymał posadę gajowego w lesie pana Kaca. Po pewnym czasie my mieszkaliśmy na Budkach Kohyleńskich, a stryj ożenił się z Katarzyną z domu Palonka i mieszkali na Wronich Błotach. Tam urodziły się wszystkie ich dzieci w tym: Zygmunt, Krystyna, Lucyna, Zbigniew i Danusia, mieszkali tam szczęśliwie do tragicznego roku 1943. W tamtym czasie ludzie posiadali liczne rodziny, dużo dzieci. Po temu i w naszej rodzinie urodziła się jeszcze 28 kwietnia 1928 r. Stanisława , a po niej nasz jedyny brat Stanisław, było to 30 marca 1930 r.. Jako ostatnie, urodziły się: Leokadia 14 lutego 1932 r. i Krystyna 08 maja 1934 r..

ZACISZNA „LEŚNA PUSTELNIA”

Moja pamięć sięga 1930 r., gdy narodził się mój braciszek Stasio, do dziś pamiętam jego chrzciny w naszym Kościele parafialnym p.w. Narodzenia Najświętszej Marii Panny. Byłam wtedy na tej uroczystości i była tam także cała nasza rodzina. To była piękna i słoneczna niedziela, poza tym nie wiele rozumiałam z tego, co się właśnie działo. Pamiętam także narodziny Łodzi i Krysi, byłam już dużym dzieckiem i o wiele więcej rozumiałam, z tego wszystkiego. Obie najmłodsze siostry również zostały ochrzczone w Swojczowie. Ja tymczasem i Władzia zostałyśmy ochrzczone we Włodzimierzu Wołyńskim w Kościele p.w. Najświętszego Serca Pana Jezusa. Barbarówka i Smolarnia należały bowiem do parafii we Włodzimierzu Wołyńskim. Moi rodzice chrzestni to Jan Borkowski i Helena Borkowska z d.Górka.

Dzieciństwo, zresztą bardzo radosne przeżywałam pośród drzew, łąk i kwiatów leśnych. Od kiedy pamiętam **bardzo lubiłam naszą gajówkę, nasz leśny dom. Codziennie rano budził mnie przepiękny śpiew ptaków, a do snu utulało mnie wdzięczne rechotanie żab, których na pobliskich bagnach, było całe mrowie.** Chociaż mieszkaliśmy tam sami, a do najbliższego gospodarstwa w polskiej kolonii Teresin, było co najmniej 2 km, nie czułam się odludkiem. **W możliwie najpiękniejszy sposób korzystałam z uroków tej „leśnej pustelni”.** I ja i moje siostry, **byłyśmy dziećmi o wesołym i żywym usposobieniu i do tańca i do różańca.** Widzę, że pomimo upływu czasu, pozostało nam to, po dziś dzień. Prawdziwe jest więc powiedzenie: *„czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci”*. Miałam codziennie dziesiątki nowych pomysłów, jak urozmaicić i tak ciekawe już nasze dzieciństwo. Nie przypominam sobie, abyśmy tam z siostrami, kiedy z nudów umrzeć miały. Piękne położenie, urok lasu i ta niezwykle kojąca cisza, a raczej muzyka leśna sprawiały, że niemal codziennie ktoś nas odwiedzał. Tym bardziej, że było nas dużo rodzeństwa, a każdy miał swoich kolegów i koleżanki.

Niedy nie zapomnę jedyne, takiego smaku na świecie, to jest oczywiście naszych kohyleńskich poziomek oraz wspaniałego sosu z naszych rodzimych grzybów. Prawdziwków było mniej, ale opieniek to tyle, że całe miasto Włodzimierz, by wykramił, dlatego **we właściwej porze w nasz las zapuszczało się wielu ludzi. I niekiedy można ich było spotkać, roześmianych od ucha do ucha, targających w rękach, a nawet na plecach, pełne kosze pięknych grzybów.** Najczęściej odwiedzała nas moja kuzynka Helenka Borkowska oraz jej brat Kazimierz, dzieci Jakuba i Zofii Borkowskich z kolonii polskiej Barbarówka. Jakub był rodzonym bratem mojej mamusi Jadwigi. Często przychodzili do nas także Mieczysław, Franciszka i Zdzisław Kielak, to byli również nasi bliscy kuzyni, dzieci naszej ciotki Anny Kielak, rodzonej siostry naszej mamusi. Poza tym często odwiedzały nas nasze bliskie koleżanki z polskiego Teresina, w tym: Michalinka Rusiecka, Wacka Wawrynowicz, Zosia Wawrynowicz, Weronika Topolanek i Felicja Sobolewska. Wszystkie one były moimi koleżankami, a gdybym tak miała wspomnieć, kolegów i koleżanki mego rodzeństwa, to mielibyśmy swoisty spis młodzieży teresińskiej. Było to po części zasługa naszego tatusia Władysława, który był człowiekiem dobrym, o miłym usposobieniu i niezwykle gościnnym. Nie tylko, że lubił z mamusią potańcować na różnych przyjęciach i zabawach, organizowanych w całej naszej okolicy, a najczęściej w Swojczowie. Stać go było, nawet kupić najprawdziwszy gramofon, aby nasze dzieciństwo stało się jeszcze radośniejsze. I rzeczywiście, moje siostry, co tylko nabierały trochę poziomek, zaraz leciały do miasta Włodzimierz, a było to ok. 12 km, sprzedawały poziomki i kupowały kolejne płyty. Do dziś

pamiętam, ten nasz leśny gramofon, miał taką charakterystyczną, dużą trąbę, a nakręcałyśmy go korbką. Jakże on pięknie i głośno wygrywał, a pomnożony przez „leśne echo” czynił muzykę, czymś niezwykle pięknym i niepowtarzalnym.

HARMONIA I ZGODA BUDOWAŁY NASZE RODZINY

Urok tego miejsca, przyciągał zatem wiele polskiej młodzieży, bowiem Ukraińcy do nas nie zachodzili, stąd i często, były u nas potańcówki. Pragnę podkreślić, że piękno otaczającej nas przyrody, taki niemalże: „Boży Zaścianek” , sprawiał, że wcale nie potrzebowaliśmy wódki, czy innych detali, by się dobrze bawić, by miło spędzać ze sobą czas. Pomimo, że Ukraińcy nie przychodzili do nas, żyliśmy z nimi w zgodzie i we właściwie, przyjaznej harmonii. Wielu Ukraińców poważało naszych rodziców, **dlatego często byli zapraszani na przeróżne spotkania, a nawet na rodzinne spotkania w ukraińskich chatach. Nie pamiętam, aby kiedykolwiek wrócili z takiego spotkania smutni i niezadowoleni**, a już na pewno, aby czuli się upokorzeni. Ja właściwie z rodzicami na takie zabawy nie chodziłam, poza jednym wyjątkiem, kiedy to rodzice zabrali mnie do ukraińskiej wsi Kohylno, była tam zabawa biletowa. Pamiętam, że na początek odegrano przedstawienie, było to tak: kilka ukraińskich dziewcząt i chłopców śpiewało: „*Zebrały wsi dziewczata, taj wsi parobki rozejszły się zbierać jahody.....*”. Pokazywali przy tym, jak zbierali te jagody do dzbanów. Przedstawienie było oczywiście dłuższe i dość ciekawe, tak że spodobało mi się nawet. Potem była już zabawa taneczna, bawiłam się bardzo dobrze, chętnie tańcowałam z ukraińskimi chłopakami, nie wyczuwałam żadnej wrogości do nas Polaków, przeciwnie czułam się tam dobrze.

Osobiście widywałam także wielu chłopców i dziewcząt ukraińskich, na wielu pobliskich, leśnych łąkach, gdzie wypędzali bydło. **Uderzało mnie piękno ich pieśni, których śpiewali dużo, jeszcze bardziej zachwycały mnie ich głosy, były niezapomniane, po prostu piękne.** Kiedy tak lubiłam słuchać tych dumek, ukraińskich pieśni, **nigdy nie przyszło mi na myśl, że ktokolwiek z tych śpiewających, może próbować odciąć mi głowę siekierą.** Nigdy nie uwierzyłabym, gdyby ktoś w proroczej wizji odsłonił mi, tę naszą najbliższą przyszłość, gdyby ktoś usiłował przekonać mnie o tym, co się miało przecież stać faktem i to już za kilka lat. Póki co, w naszej gajówce młodzież lubiła urządzać sobie różne imprezy okolicznościowe, najlepiej zapamiętałam „Andrzejkę”. Lubiałam nasz las jeszcze z jednego powodu, było tam oczywiście dużo zwierzątek, które lubiłam podpatrywać. Najczęściej spotykałam sarenki i zajączki, choć raz spotkałam nawet zółwia i do dziś nie mam pojęcia, skąd i jak się tam nawinął.

Przed II wojną światową częstymi gośćmi w naszym domu, byli polscy oficerowie z miasta Włodzimierz Wołyński. Przyjeżdżali do nas latem, a jeszcze częściej w zimie na polowania. Imponowała mi kultura tych oficerów oraz dobre obyczaje, warto także wspomnieć ich pobożność. Dla przykładu, kiedy który wchodził do naszego domu, nie zapominał powiedzieć staropolskiego: „*Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus*” . Z perspektywy, tak długiego czasu, widzę wyraźnie, że na takiej właśnie armii, można było potem budować bohaterskie szeregi 27 Wołyńskiej DP AK. Dywizji na sztandarze której, z dumą i gorącą wiarą, czytaliśmy ideały całego naszego życia: Bóg, Honor i Ojczyzna. Dziś natomiast często modlę się do Boga, aby ustrzegł naszych żołnierzy i nasz narodowy honor, bowiem czego można się spodziewać od ludzi, dla których ideały chrześcijańskie, tak niewiele znaczą.

Najpiękniejszym miesiącem w naszym domu i w naszym lesie, był naturalnie maj i doprawdy nie sposób opisać, czym jest właściwie przejście lasu ze stanu zimowego w stan letni. To tak jakby człowiek ze śnieżnej pustyni, nagle trafił do raju i natychmiast popadł w ciężką rozterkę: czym się cieszyć od zaraz, a co zostawić sobie na deser. Po prostu, gdy wszystko wkoło Ciebie rozwija się, cudownie pachnie i niebiańsko śpiewa, czujesz się mocno zagubiony, świat traci się niejako w Twoim urzeczonym sercu. Dlatego szczerze wyznam, że kilkadziesiąt lat spędzonych w małym miasteczku Nowa Sól na Dolnym Śląsku, choć także pięknych, jednak w jakiejś części niepełnych. Oto bowiem w moim sercu, nawet dziś, na każde wspomnienie o tamtych latach, budzi się tęsknota, a może nawet szczypta niewinnej zazdrości, o tamten czas, o tamten „Boży Zaścianek”. To nasz wołyński maj, ale i zima miała swoje uroki. Każdy kto raz zobaczy świerkowy las, pod grubym puchem śnieżnym zaręczam, że nigdy już nie zapomni, tej bajkowej, śnieżnej bieli i ciszy.

POD MIŁOSNYM WEJRZENIEM MARYI

Moja rodzina, podobnie jak niemal wszyscy ludzie w okolicy i Polacy i Ukraińcy, byliśmy ludźmi pobożnymi. Wiara była dla nas źródłem mocy duchowej, ta zaś nadawała sens, całemu naszemu życiu. W naszej społeczności, po prostu nie można było sobie wyobrazić życia bez Boga, dlatego w naszych stronach zjawisko ateizmu, praktycznie nie występowało, nawet nie słyszałam o czymś takim. Tamten kresowy naród, tamten lud, to byli właściwie piękni, choć ubodzy ludzie, bez wątplenia grzeszni, nikt bowiem nie jest doskonały. Cokolwiek by jednak o nich nie powiedzieć, wierni Bogu i na Bogu, budujący swoją codzienność. Nic więc dziwnego, że i ja od najmłodszych swoich lat, pomimo dużej odległości, bywałam niemal w każdą niedzielę w naszym kościele w Swojczowie. Jechaliśmy tam zwykle całą rodziną na naszym drewnianym wozie, takie były czasy. Jak tylko podrosłam, chodziłam do kościoła z moimi siostrami na piechotę, a zdarzało się że i sama dziarsko maszerowałam. Droga wiodła przez Teresin, a potem przez Wólkę Swojczowską i już do samego kościoła.

Największym skarbem naszej parafii był łaskami słynący Obraz Matki Bożej. I choć osobiście nie spotkałam się w swoim życiu, bezpośrednio z konkretnym cudem, takim aktem uzdrowienia, jednak **już samo to miejsce i gorejąca tam, niezwykła religijność kresowej społeczności, w tym Ukraińców, nosiła w sobie znamiona stałej obecności Ducha Świętego, pośród nas. Nigdy nie zapomnę tamtych rozmodlonych uroczystości kościelnych**, w których brałam osobiście udział, modlącego się w skupieniu ks. Franciszka Jaworskiego, śpiewających z miłością, wiarą i przejęciem ludzi oraz pięknych dźwięków naszych swojczowskich organów. Do dziś mam przed oczyma, jakże miłe memu sercu procesje z eucharystycznym Ciałem naszego Pana, dookoła naszej świątyni. Kościół nasz nie był duży, ale piękny i czułam się tam b. dobrze. W Ołtarzu głównym za szkłem, znajdował się nasz cudowny Obraz Matki Bożej ze Swojczowa, przysłonięty był zwykle innym wizerunkiem: w cinnym tle postać Jezusa z rozłożonymi i wzniesionymi do góry rękoma, a obok Niego, na wysokości głowy naszego Pana, widac było główki dwóch aniołków. Były też ołtarze boczne, ale dziś już nie pamiętam, komu były poświęcone. Najbardziej uroczyste święta, które pamiętam w naszej parafii, to oczywiście Boże Narodzenie i Wielkanoc.

Każdego roku, całą rodziną wybieraliśmy się na Pasterkę, to było nocą, jechaliśmy na godzinę 24.00. Pamiętam, że nasz Kościół zawsze był wtedy pełny, całe tłumy ludzi, a kto przyjechał późno, miał już trudności w wejściu do świątyni, przy czym mrozy, były na ten czas duże. Bardzo lubiłam nasze kolędy, śpiewane w

Kościele, a osobliwie śpiewane rodzinnie przy pięknie przybranej choince. Nasz tatuś Władysław już potrafił o to zadbać, jako gajowy potrafił upatrzeć drzewko i dla nas i do naszej szkoły na Barbarówce, a nawet woził drzewka do Kościoła w Swojczowie. Rodzice lubili śpiewać kolędy, moje rodzeństwo i ja również. Zimowe wieczory, długie i ciepłe, przy choince i rodzinnym stole, zawsze miło usposabiałały do śpiewania, tym bardziej, że w tamtych czasach, a szczególnie w tamtych stronach, śpiewać kochali niemal wszyscy. Cóż to były za święta i cóż to były za wieczory, z rozżewnieniem je dziś wspominam, a tak sobie niekiedy dumam: **„Boże drogi nie było tyle na stole, co dziś, nie było telewizorów, a nawet radia, a święta były piękne i tak rodzinne. Przynosiły tyle radości i pokoju, a dziś na stole wszystko jest, tylko tej radości i tego pokoju brak. Bo to, czy dziś potrafią śpiewać, tak jak to my na Wołyniu kolędowaliśmy? Czy dziś ludzie umieją się jeszcze radować, czy raczej czują się znudzeni, by nie powiedzieć zmęczeni, po kilku godzinach, wpatrywania się w tego, współczesnego, szklanego bożka? Ale co gorsza, czy jeszcze umieją ze sobą być i prawdziwie ze sobą rozmawiać, gdy go nie ma? Naprawdę chciałabym mieć taką nadzieję, ale chyba jest niestety inaczej. Bo oto, czy dziś nie słyszymy często: „święta, święta i po świętach”!?” Mam wrażenie, że to właśnie, to sztuczne tempo życia, to bezsensowne gadulstwo i byle tylko do następnego miesiąca, byle jakoś przetrwać do wypłaty, to nas właśnie gubi, ta niekończąca się gonitwa. Łatwo wtedy zapominamy o tym, co jest najważniejsze, to jest o tej miłości, dla której Kard. Stefan Wyszyński mawiał: „Ludzie powiadają czas to pieniąż, a ja wam powiadam czas to miłość.”**

Bardzo miło wspominam te dni i chwile, gdy do naszej gajówki przychodził sam Chrystus z dobrą Nowiną, przynoszony w sercach przez kolędników. Każdego roku przychodzili do nas, by radośnie kolędować, mieli szopkę i gwiazdę, która świeciła, a kręcąc się, mieniła się wszystkimi kolorami. Przebrani dość śmiesznie, zawsze dobrze nas ubawili, a tatuś miło ich przyjmował i nigdy nie odmówił przyjęcia. Byliśmy im wdzięczni, że potrafili iść taki kawał lasu, po zaśnieżonych drogach, tylko by w naszym domu radośnie zakolędować. Przychodził wtedy m.in. Antoni Buczko z kolonii Teresin, mój późniejszy szwagier, który ożenił się z moją siostrą Władzią, jeszcze przed wojną w 1938 r. . Ślub odbył się 04 czerwca w Kościele w Swojczowie, a przyjęcie i zabawa weselna w naszej gajówce.

Osobliwie piękne były również święta Wielkanocne, a każdego roku musowo jechaliśmy na ranną mszę świętą rezurekcyjną. Zawsze były to dni szczególnie radosne, a w ostatnich latach przed wojną, atmosferę podgrzewała orkiestra dęta, obecna tylko podczas tych świąt. **Właściwie każda ważna uroczystość kościelna, gromadziła tłumy ludzi w naszej świątyni, przy czym żywe wciąż tradycje, przydawały tylko kolorytu, wszelkim religijnym obrzędom.** Dlatego nie sposób opisywać wszystkich, spodziewam się bowiem, że pisali już o tym, także inni nasi parafianie. Ja chciałabym dziś wspomnieć, ten pachnący niezwykle mocno tatarak w naszym domu, ścielony gęsto na podłodze i po wszystkich kątach oraz świeże gałązki brzoźek, którymi tatuś Władysław ozdobił dom w środku i przy drzwiach wejściowych. Dziś może ktoś mógłby sobie pomyśleć: *„mało miał chłop wkoło lasu. Jeszcze w domu lubił sobie pochasać.”* . A to były po prostu, takie nasze, polskie, rodzinne i katolickie, zielone świątki na Kresach.

SWOJCZOWSKIE RADOSNE ODPUSTY

Zwieńczeniem naszego życia religijnego, były największe uroczystości parafialne, obchodzone 15 sierpnia, był to tzw. Odpust mały, oraz 08 września: Odpust duży. I o ile uroczystość Matki Bożej Wniebowziętej zawsze gromadziła wielu gości, będąc zarazem okazją do rodzinnych spotkań, o tyle Odpust w dniu

Matki Bożej Siewnej, był już wydarzeniem wyjątkowym i niepowtarzalnym. Tego dnia ta mała miejscowość, zmieniała się, niemal w małe, ruchliwe miasteczko. Ludzie ciągnęli ze wszystkich stron naszej rozległej parafii, a mieli niektórzy do pokonania nawet kilkanaście kilometrów. Dla przykładu Polacy zamieszkujący w kolonii polskiej Ludmiłpol, mieli do pokonania ponad 10 km. Na ten dzień przychodziły do Swojczowa piesze pielgrzymki, nawet z tak odległych miejsc jak: Kowel, Łokacze i Kisielin. Naturalnie nasza rodzina, każdego roku jechała na obie uroczystości, ja najbardziej lubiłam Odpust duży. Niedaleko kościoła, stawiano w tych dniach karuzelę, było także mnóstwo straganów oraz loterie, a **można było wygrać pierścionek z niebieskim oczkiem. Trzeba było mieć tylko odrobinę szczęścia, a żywa papuga wyciągnęła Twój, wymarzony los.** Sama nie próbowałam sił, ale lubiłam sobie tak popatrzeć, jak inni się zmagają i raz jeden, ktoś wygrał przy mnie ten pierścionek.

W tych dniach było w Swojczowie i przy samym Kościele, wielu przyjaciół i znajomych, potem wspólnie wracaliśmy na smaczny obiad do naszego domu. Goście często przyjeżdżali do nas, przeważnie nasza rodzina z Barbarówki, ale również z Tartaku Kohyleńskiego. Bywali u nas dla przykładu: moja ciocia Katarzyna Sykut z mężem Bolesławem oraz ich troje dzieci: Józef (rocznik 1928), Marysia (chyba z roku 1930) i Władysława (ur. w okolicach roku 1936). Mieszkali w jednym małym domku wraz z rodzicami: Walentym i Katarzyną Borkowscy, którzy byli dla mnie zarazem dziadkiem i babcią. Ich najbliższym sąsiadem był Niemiec Emil Winkler oraz jego żona, teściowa i troje ich dzieci, w tym: Elza, Arnold i Paul. Elza była moją bliską koleżanką i lubiłam się z nią bawić, ile razy przychodziłam do mojej babci. Na Tartaku mieszkał jeszcze rodzony brat Emila, chyba Aleksander Winkler mu było, a z nim jego żona i troje dzieci, w tym Erna. Na Teresinie mieszkał jeszcze trzeci ich brat: August Winkler, jego żona i dzieci. Wszyscy oni wyjechali późną jesienią do Niemiec, tak że na Boże Narodzenie 1939 r. , już w ich w naszych stronach nie było.

SKOLNE LATA W SWOJCZOWIE I NA BARBARÓWCE

Pierwszy dzwonek szkolny w moich uszach, zadzwonił we wrześniu 1931 r. w Swojczowie, choć nie było łatwo i musiał ojciec zrobić ławkę dla nas w klasie, gdyż nie było miejsca w naszej szkole. Chodziłam tam przez cały niemal rok, tylko zimą rodzice wynajmowali dla mnie i dla siostry Władzi stancję, u miejscowego Polaka. Ojciec dogadał się w tej sprawie z dwoma braćmi Stefanus, złożyli się i wynajmowali dla nas stancję, od Stefanusów było troje dzieci i babcia i nas dwie. Władzia miała na ten czas 10 lat, a ja liczyłam 7, tatuś zabierał nas do domu na sobotę, a odwoził do Swojczowa w niedzielę. Lubiałam chodzić do szkoły, miałam tam bowiem wielu kolegów i koleżanek.

Szkoła w Swojczowie była bardzo blisko ukraińskiej Cerkwii i nie raz, jak był właśnie pogrzeb oraz przerwa, to biegaliśmy tam do Cerkwii. Podobnie, gdy na Wielkanoc bawili się pisankami bowiem mieli Ukraińcy bardzo ładne pisanki. Atmosfera w szkole była dobra i latem, gdy szłyśmy na piechotę przez Wólkę Swojczowską, a była to duża wieś ukraińska, nikt nas nie zaczepiał i nikt nam specjalnie przykrości nie sprawiał. Jak zawsze bywały uroczystości: wesela lub chrzciny i nie było znać żadnej wrogości. Przy czym na polskim Teresinie mieszkały tylko trzy rodziny ukraińskie, w tym: Stolaruk, Sereda i jedna kobieta z dorosłą córką, mieszkały i żyły razem z Polakiem Kaczkowskim.

Niestety w Swojczowie w szkole, byłam tylko jeden rok, a potem przeniesiono mnie do szkoły na Barbarówce. Przyczyna była prosta i b. praktyczna, tatuś mógł nas częściej odwiedzać, gdy jechał w sprawie do miasta Włodzimierz Wołyński.

Chodziłam tam przez cztery lata, a po ukończeniu klasy piątej, skończyła się moja edukacja. Rodzice nie mieli już więcej pieniędzy, gdyż edukację rozpoczynały właśnie: dwie młodsze siostry i brat Stasio. W tej trudnej sytuacji, moi rodzice widząc, że umiem już pisać i czytać, postanowili dać szansę młodszym, a ja musiałam poczekać. Tak oto wszyscy nauczyliśmy się czytać i pisać, a trzeba dodać, że w tamtych czasach, było to znaczne osiągnięcie, wielu bowiem nie miało nawet takiej szansy. Choć nie chodziłam już do szkoły, wciąż uczęszczałam do Kościoła w Swojczowie, była to dla mnie szansa na dalszy rozwój duchowy, a nawet intelektualny, której nie zmarnowałam. W niedzielę bywałam w Kościele, nawet dwa razy i to często: na sumę o godzinie 11.00 oraz na Nieszpory o godzinie 18.00, oczywiście tylko letnią porą.

Na tej drodze właśnie, dowiedziałam się od moich koleżanek, może to była nawet Michalinka Rusiecka, czy Waława Wawrynowicz, że jest pożyteczne stowarzyszenie przy naszym Kościele. Organizuje czas i zajęcia dla młodych dziewcząt. O ile dobrze pamiętam, było to Stowarzyszenie Młodzieży Katolickiej i należały tam, raczej młode dziewczyny, jeszcze panny, więc i ja tam trafiłam. A ponieważ było to, na krótko przed wybuchem II wojny światowej, byłam na tych spotkaniach tylko kilka razy, potem było to już niemożliwe. Mimo to w sercach cieszyliśmy się, że nam Sowietom Kościoła w Swojczowie nie zamknęli, faktem jest że modlić się jeszcze nie wzbrani.

Przed wojną znałam osobiście Franciszka i Józefę Pieczonka, ich dzieci oraz siostrę Józę z Zastawia; Anastazję Roch. Przychodziła do Pieczonków w odwiedziny i czasami się tam widywałyśmy. Pozostałych Rochów nie znałam, choć wiem, że zamieszkiwali w Kohylnie.

PATRIOTYCZNE WYCHOWANIE

Szkolę na Barbarówce zapamiętałam bardzo dobrze, a to za przyczyną naszych nauczycieli, którzy byli ludźmi dobrymi z usposobienia i dobrze przygotowanymi do pracy. Nasze lekcje miały być ciekawe i na wskroś pożyteczne. Nauczycieli było tylko troje: kierownik szkoły Henryk Szpajdel, jego żona, a nasza wychowawczyni Stanisława Szpajdel oraz nauczycielka języka polskiego Helena Wydrzanka, jeszcze panna. Należy podkreślić ich wytworzoną pracę, nad wpojeniem nam pierwiastków miłości do ojczyzny, Marszałka Józefa Piłsudskiego, naczelnika państwa polskiego, rodzimej, narodowej historii oraz do religii katolickiej. Przy czym, wszystko utrzymane było na dość wysokim stopniu wolności osobistej i kultury, tak że nikt w naszej szkole nie czuł się pokrzywdzony, czy dyskryminowany, właściwie tego terminu, nawet nie znaliśmy. Wszyscy wiedzieli, że do prawosławnych dzieci przyjeżdża pop z Kohylna, a do Niemców pastor, nikt się temu nie dziwił. W naszej szkole czuły się dobrze, nawet dzieci żydowskie i nie przypominam dziś sobie, abyś ktoś kogoś wyzywał, bądź czynił inną krzywdę. Ale w tamtym czasie w naszej szkole, była prawdziwa dyscyplina i jeśli ktoś sobie dobrze naważył i trafił do kierownika, to wszyscy wiedzieli, że było pranie linką. Przy czym **nasi nauczyciele, dobrze wiedzieli, że najlepszym sposobem na dobre wychowanie człowieka, jest po prostu dobry przykład, dlatego często organizowali dla nas zajęcia: sportowe, krajoznawcze i religijne. Do dziś pamiętam wycieczkę nad rzekę Bug** oraz ładne przedstawienie teatralne, dla dzieci z naszej szkoły, zorganizowane przez naszych starszych kolegów.

Nasi młodzi aktorzy, w tym siostra Irena oraz kuzyn Mieczysław Kielak, przedstawili nasze polskie Legiony, które szły prosto do raju, a po drodze spotkały św. Piotra, który jest klucznikiem Niebieskiej Bramy. Takich uroczystości i

przedstawień było oczywiście dużo więcej, ale nie sposób wszystkie opisać. Warto jednak wspomnieć o takim dniu, który w treści i wymowie, był niezwykle bogaty i głęboko wyrył się w naszych dziecięcych sercach. Była to uroczysta Akademia szkolna na cześć Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego, który zmarł 12 maja 1935 r. . Z tej okazji nasza dyrekcja ogłosiła, że tym dniu nie będzie lekcji, ale odbędzie się specjalne spotkanie żałobne przy naszej szkole, tak aby godnie uczcić śmierć wielkiego Polaka i opatrznościowego Męża Stanu. I rzeczywiście tego dnia wybrałam się do szkoły z siostrą Władzią i były tam już dzieci, zebrane obok naszego szkolnego budynku. Na ścianie budynku zobaczyłam także zawieszony portret Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego, przepasany grubą, czarną wstęgą na znak narodowej żałoby. Na życzenie naszych przełożonych, przystroiliśmy portret ładnymi, zielonymi gałązkami brzoźowymi, a potem zaśpiewaliśmy piękną pieśń żałobną na cześć Marszałka Polski, oto słowa, które po dziś pamiętam:

*„To nie prawda, że Ciebie już nie ma, To nie prawda, że jesteś już w grobie,
Chociaż płacze, cała polska ziemia, Cała polska ziemia w żałobie.”*

Potem wszyscy ustawiliśmy się do zdjęcia pamiątkowego. Na samym końcu, po prawej stronie od portretu Marszałka, stoi nasz kierownik Szpajdel oraz jego żona Stanisława. Ja i Władzia jesteśmy, gdzieś w środku, tej dość dużej gromadki dzieci.

O TYM CO W „KOHYLEŃSKIEJ TRAWIE” PISZCZY - GROŻNA ZAPOWIEDŹ PRZYSZŁEGO LUDOBÓJSTWA NA LUDNOŚCI POLSKIEJ

Gdy zbliżała się wojna 1939 r. , miałam skończone ledwie 14 lat i jeszcze nigdzie, po zabawach nie latałam. Może także dlatego, aż do samej wojny, nie spotykałam się z aktami agresji, ze strony miejscowych Ukraińców. Nie słyszałam nawet o przypadkach niechęci, wobec Polaków, ani od rodziców, ani od innych ludzi w naszej okolicy. Owszem zdarzały się takie sytuacje, jak ta w Kohylnie i to jeszcze na kilka lat przed wybuchem II wojny światowej, około 1934 – 1935 r. . Mianowicie ja i moja siostra Władysława oraz rodzeństwo: Zdzisław i Józefa Kukółka, byliśmy właśnie w drodze ze szkoły do naszych domów. Szliśmy więc razem, także przez ukraińską wieś Kohylno, raz że było bliżej, a dwa ponieważ był tam sklep, w którym mogliśmy nabywać wartościowe rzeczy. Najbardziej zależało nam na przedmiotach szkolnych, a te właśnie tam były. Pamiętam dobrze, że miało to miejsce, jeszcze przed śmiercią Marszałka Józefa Piłsudskiego. Pamiętam zatem, że gdy tak szliśmy przez Kohylno, spotkałyśmy niedużą grupkę dzieci ukraińskich w wieku 10 – 11 lat. Były to same chłopczyśka, którzy zaczęli na nas pokrzykiwać: „*Mazury! Mazury!*” . Ponieważ nie zapraszali nas do rozmowy i nie próbowali nas nawet poznać, odebraliśmy to jako rodzaj zaczepki, w każdym razie, była to dla nas, dość nieprzyjemna sytuacja. Na domiar złego, **zaczęli w nas rzucać grudami ziemi i patykami i to tak, aby wyraźnie w nas trafiać. Był to już wyraźny przejaw wrogości wobec nas, więc rzuciliśmy się do ucieczki w kierunku Tartaku, ale oni wciąż nie dawali nam spokoju.** Tak że spory kawałek drogi nas tak gnali, krzycząc za nami i rzucając w nas, czym się dało i czym popadnie. Na szczęście wieś się skończyła i dopiero wtedy zaprzestali nas ścigać.

Ja i moi pozostali towarzysze, byliśmy bardzo wystraszeni, a jeszcze bardziej zaskoczeni, wcale nie spodziewaliśmy się, że coś takiego może nam się w Kohylnie przydarzyć. **Było to dla nas bardzo ciężkie doświadczenie, niestety taka sytuacja powtórzyła się w Kohylnie, jeszcze kilka razy i to w dość krótkim okresie czasu. W tej sytuacji ja i moi towarzysze, zmuszeni byliśmy omijać Kohylno, idąc traktem z Włodzimierza Wołyńskiego do Swojczowa, było trochę dalej, ale znacznie bezpieczniej.** Były jeszcze inne jaskółki, zapowiadające trudne współzycie wzajemne

Polaków i Ukraińców w przyszłości. Oto mój tatuś, jako gajowy nie mógł uniknąć trudnych spraw sądowych i co chwilę musiał jechać na kolejną rozprawę do Włodzimierza. Raz jeden toczyła się rozprawa przeciwko Ukraińcom, zamieszanych w jakieś sprawy polityczne, gdy on właśnie był w sądzie, a z nim nasza mama Jadwiga. Gdy rodzice wrócili do domu, opowiadali nam wszystkim tak: „*Widzieliśmy dziś w sądzie grupę Ukraińców, zakutych w kajdanki, którzy po usłyszeniu wyroku, poczuli głośno śpiewać, swoje pieśni narodowe. W tej sytuacji do sądu przyjechało dużo policji i siłą, dobrze przy tym pałując skazanych, wyprowadzili ich z budynku sądu i gdzieś zabrali.*” . Na podstawie powyższych przykładów, widać zatem gołym okiem, że problemów na naszej Ziemi Wołyńskiej na pewno nie brakowało. Generalnie rzecz biorąc, było jednak u nas w tamtych czasach, dość spokojnie i nie zmieni się to, aż do wybuchu, tej demonicznej w swych rozmiarach wojny. Ja sama jako młoda dziewczyna, wcale nie spodziewałam się wybuchu wojny, choć słyszałam jak od marca 1939 r. , ludzie przy różnych okazjach wspominali, że może przyjść do zbrojnego konfliktu.

SOWIECKA OKUPACJA WOŁYNIA

Z naszej rodziny najbliższej, nikt nie poszedł we wrześniu 1939 r. na front, nawet nasz tatuś nie został zmobilizowany do armii. Jedynie Antoni Buczek, mój szwagier otrzymał powołanie, jeszcze w sierpniu, ale już następnego dnia wrócił do swego domu. Pierwsze dni wojny, były u nas bardzo spokojne, w całej okolicy, a już tym bardziej w naszej leśnej głuszy, nic specjalnie się nie działo. Siedzieliśmy sobie spokojnie i właściwie niewiele się baliśmy. 17 września mój tatuś udał się do miasta Włodzimierza, aby zorientować się w sytuacji, zabrał ze sobą mundur gajowego oraz broń osobistą. Na torach, opodal miasta, zatrzymał go sowiecki zwiad i odebrał mu broń, ale na szczęście puścili go wolno. Tak rozpoczęła się sowiecka okupacja.

Na samym początku tatuś stracił posadę gajowego i był zmuszony podjąć pracę w Tartaku, dowoził drzewo z lasu do Tartaku. Także ja i moja siostra Irena otrzymałyśmy pracę w Tartaku i byłyśmy tam zatrudnione, aż po czerwiec 1941 r. , gdy na te tereny wkroczyli Niemcy. Za Sowietów zanim poszłam za pracą do Tartaku, przez pewien czas, chodziłam na Teresin do Kaczkowskich i robiłam u nich na drutach chustę, lub sweter. Dobrze mi się z nimi rozmawiało, dali jeść i cały dzień siedziałam i robiłam na drutach. Czasy nie były dla nas łatwe, do lasu nikt bowiem zimą, specjalnie nie przychodził, a żyć przecie trzeba, tym bardziej, gdy ma się tak liczne rodzeństwo. Co innego latem, zawsze było dużo ludzi i drzwi nigdy nie były zamknięte na klucz.

Przez cały okres pobytu Sowietów w naszych stronach, Ukraińcy zachowywali się dość spokojnie i nadal nie pamiętam, by w okolicy zdarzały się antypolskie akcenty. I nawet gdy chodziłyśmy z siostrą Marysią do pracy do Tartaku, a praca była od 14.00 aż do 22.00 nikt nas specjalnie nie zatrzymywał i nie napastował. Dopiero gdy przyszli Niemcy, to Ukraińcy zaczęli podnosić głowy, choć po wsiach jeszcze nawet i tego się nie odczuwało. Najgroźniejsze w tym czasie były wywózki polskich rodzin na daleką Syberię. Z naszej okolicy Sowietci zabrali rodzinę Barańskich, a szykowali się także do wywiezienia i naszej rodziny i to jeszcze w tym samym czerwcu 1941 r. , jak wielu innych, uchronił nas atak hitlerowców na ZSRR. Wiem o tym dobrze bowiem w naszej okolicy, często się o tym potem mówiło, kiedy odnaleziono całą listę rodzin, przeznaczonych do następnej wywózki. Ogólnie nic nie uległo zmianie, jedynie życie towarzyskie wyraźnie osłabło, ludzie siedzieli „cicho”, jak mysz pod miotłą.

JAK WOJNA ROZPALAŁA NIENAWIŚĆ UKRAIŃCÓW

Tak jak szybko Sowietci do nas przyszedli, tak jeszcze szybciej od nas uciekali, właściwie nie widziałam żadnej walki, a już organizowała się nowa, niemiecka okupacja. I tym razem Ukraińcy zachowywali się w naszych stronach spokojnie i póki co, nie było u nas żadnych, antypolskich incydentów. Aczkolwiek moi rodzice jeździli parę dni później do Włodzimierza i już wtedy widzieli na ulicach, uzbrojonych Ukraińców z opaskami niebiesko – żółtymi. Byli to jakoby policjanci w mieście, ale na tamten czas zachowywali się spokojnie.

Na początek Niemcy rozprawili się z Żydami, których większość pomordowali w lasach, w okolicy Piatydni. Także nasi Żydzi, którzy mieszkali i pracowali na Tartaku Kohyleńskim, zostali przez Niemców zabrani i zapewne pomordowani. Byłam osobiście świadkiem rozrywek i pomysłowości niemieckich zbrodniarzy, gdy pewnego razu niemieccy żołnierze zaprzęgli do wozu dwóch starych Żydów lat około 60 i kazali sobie ciągnąć ten wóz. Gdy Żydzi tak się trudzili, Niemiec okładał Ich batem, aby się zważniej przy tym ruszali. Trudno dziś uwierzyć, ale to prawda pamiętam, że nie mogłam na to patrzeć.

Niedługo po tym wołyńskim holokauście, przysłała kolej na polską i ukraińską młodzież, których wysyłano na przymusowe roboty do III Rzeszy. Przy czym Polaków wywożono, wydaje się znacznie częściej. Z mojej rodziny nikogo nie zabrali, choć mało brakowało, bym ja sama nie została wywieziona. Było to już w lutym 1943 r., ukraińska policja urządziła łapanki na polską młodzież. Pamiętam jak zorganizowano zabawę taneczną dla młodzieży na Teresinie, **z okazji Ostatków. Gdy się tak bawili w najlepsze, nagle wpadli Ukraińcy i wszystkich zagarnęli, a potem zabrali do dużej, ukraińskiej wsi Werba. I chociaż nie byłam na tej zabawie, przyszedli i zabrali i mnie z naszego domu.** Było to możliwe bowiem od roku 1942 zamieszkaliśmy na kolonii Teresin w jednym z pożydowskich domów. Ojciec nasz przytomnie zajął opuszczone mieszkanie i ziemię Mošku Kaca, którego zabrali i zamęczyli wcześniej hitlerowcy. Była to także okazja, by zamieszkać między ludźmi. Tym bardziej, że w lesie nie było pracy, a czasy stawały się, coraz to bardziej niebezpieczne. Zabrana zatem z domu na Teresinie, trafiłam do także dużej, ukraińskiej wsi Gnojno. Tam właśnie policja ukraińska ściągła młodzież polską z wszystkich stron i ładowała na transport do miasta Włodzimierza Wołyńskiego. Przetrzymano nas tam przez kilka godzin i właśnie wtedy, wiele osób zdołało nawiąć, w tym także i ja sama.

W tym trudnym czasie, jeszcze w listopadzie 1942 r. nasza siostra Irena urodziła córeczkę Cecylię i mieszkała razem z nami. Z kolei nasza siostra Maria, wyszła za mąż za Stanisława Rokickiego i wyprowadziła się do swego męża do Ludmiłpola, gdzie 14 lutego 1943 r. powiła pięknego chłopczyka Kazimierza. Można by sądzić, że szczęściło nam się w nieszczęściu, ale prawdziwe trudy miały dopiero nadejść.

Na początku roku 1943, już zaczęło się robić bardzo niespokojnie. W Wielkim Poście w naszym domu, jak zwykle dyskutowaliśmy o tej niełatwej, naszej sytuacji i pamiętam z tamtych dni, następującą historię, którą opowiadali, albo moi rodzice, może rodzeństwo, a może jeden z naszych gości, w każdym razie, było to tak: „*W każdej wsi ukraińskiej, gdzie była wdowa, otrzymała polecenie, aby upiec siedem chlebów, a następnie roznieść do siedmiu wiosek, do domów, gdzie także mieszkały ukraińskie wdowy, a one znowu piekły i roznosiły dalej tak samo, jak te pierwsze. Potem zrodziło się w naszej polskiej społeczności słynne powiedzenie: ‘Gdzie piekły, tam siekły!’*”. W opinii mojej rodziny, to roznoszenie pieczonych bochenków chleba,

było znakiem rozpoznawczym do mordowania polskiej ludności, zresztą nie tylko my tak sądziliśmy, ale ogół naszych wołyńskich rodaków.

Poza tym, było u nas spokojnie, aż do Wielkiego Tygodnia 1943 r. , kiedy to ludzie zaczęli ze sobą rozmawiać, że Ukraińcy gdzieś mordują pojedynczych Polaków. Wieczorami zaś, każdy mógł osobiście zobaczyć, wielkie łuny na niebie, a nasi ludzie komentowali to jednoznacznie: to palą się polskie wsie i kolonie, a Ukraińcy właśnie mordują tam ludzi. Pierwszą ofiarą w naszych stronach, o której mi wiadomo, to był Polak ze wsi Smolarnia o nazwisku Łuszczak. Gdy tylko mama Jadwiga dowiedziała się o tym, zaraz po świętach, już we wtorek, wybrałyśmy się tam. Chciałyśmy się dowiedzieć, jaka była przyczyna tego zajścia z Ukraińcami i dlaczego Łuszczak zginął, ale nikt nic nie wiedział, jakby bez żadnej przyczyny.

Gdy przyszłyśmy do domu Łuszczaków, jego żona opowiadała nam osobiście przebieg tej tragedii, mówiła tak: *„W nocy z niedzieli na poniedziałek do naszego domu przyszło dwóch Ukraińców z bronią. Gdy mój mąż ich zobaczył, rzucił się do gwałtownej ucieczki na strych, widać coś przeczuwał, lub coś wiedział, bał się i nie chciał się z nimi spotkać. Wtedy oni zaczęli za nim strzelać, niestety trafili go, jak był na dachu, ranny mąż spadł na ziemię i się zabił. Ukraińcy przynieśli ciało do domu i odeszli.”* . Łuszczakowa była mamusią chrzestną, mojej rodzonej siostry Władysławy, już jako wdowa wraz z dziećmi, przeżyła wojnę i wyjechała na Pomoże i osiadła w miejscowości Pszczółki koło Gdańska. Dowiedziałyśmy się jednak przy tym, że w niedalekim Chobułtowie, Ukraińcy wymordowali całą i liczną, polską rodzinę Rudnickich. Oprócz tych tragedii, przez całe święta, aż do krwawego lipca, panował w naszych stronach, jeszcze dość względny spokój.

KRWAWE ŻNIWA ROKU PAŃSKIEGO 1943

W lipcu rozegrała się ostatnia, jakże tragiczna karta naszego życia na polskim Wołyniu. Już w czerwcu 1943 r. przez naszą kolonię Teresin, nocami przejeżdżali się uzbrojeni Ukraińcy i głośno śpiewali, a raczej wydzierali się tak: *„Smert, Smert, Smert Lacham, Komunistom i Żydam....!”* . Chcę pokreślić, że wiele razy słyszałam to osobiście, a nawet widziałam ich w drodze z Tartaku na Wólkę Swojczowską. Zwykle było ich dwóch, lub trzech i byli uzbrojeni w karabiny. W czerwcu zdarzyło się to conajmniej pięć razy, a może i więcej. Jeszcze zanim uciekliśmy z Teresina, prowokacje te powtarzały się, także w pierwszych dniach lipca. Właśnie na początku lipca do naszego domu, przyszło dwóch uzbrojonych Ukraińców i zaczęli domagać się, aby wydać im broń. Byli przekonani, że nasz tata, jako gajowy musi mieć ukrytą broń osobistą. Nie wierzyli w nasze zapewnienia, iż broni w domu nie ma i zrobili ostrą rewizję, przewracając wszystko do góry nogami. Szukali zapamiętałe w stodole, w oborze i na strychu, wszędzie kłuli bagnetami, ale nic nie znaleźli i spokojnie odeszli, już więcej nas w domu nie nachodzili. Tatuś był w tym momencie nieobecny bowiem kosił siano na łące w Kohylnie.

To było 08 lipca, tuż przed tą rewizją w naszym domu, miałam niezwykle, jak się później okazało proroczy sen, śniło mi się tak: *„Idę przez Swojczów, do naszego Kościoła na górce, a jest piękna pogoda. Gdy zbliżyłam się do Kościoła, nagle usłyszałam głośne strzały, z bardzo wielu karabinów, ale nie widziałam, kto i do kogo strzela, choć drzwi Kościoła otwarte były dość szeroko. Słyszałam wyraźnie, że strzelają z obu stron kościoła, a wiele kul przelatuje ponad naszym Kościołem. W tym momencie zobaczyłam w wejściu do Kościoła, swojego szwagra Antoniego Buczko, męża mojej siostry Władysławy. On to właśnie powiedział do mnie: ‘Nie wchodź do Kościoła, bo tam są Ukraińcy!’* . Jak to usłyszałam, zaraz zawróciłam w drogę powrotną do domu i zaraz się obudziłam.” . Pragnę zaznaczyć, że przed tym snem nie

miałam zielonego pojęcia, że Ukraińcy ledwie parę dni później, wymordują setki Polaków w okolicznych Świątyniach i tuż przy nich samych. Naturalnie zastanawiałam się, co by ten sen miał oznaczać i jak mam go właściwie rozumieć. Jednak jak dotąd, nigdy słyszałam, aby Ukraińcy mordowali Polaków masowo i to jeszcze po Kościołach, jak dotąd nawet o czymś takim nigdy nie myślałam, tak było to nieprawdopodobne. A tu taki sen. Mimo wszystko po przebudzeniu, byłam bardzo niespokojna, wyczuwałam że grozi nam niebezpieczeństwo ze strony Ukraińców, obawiałam się nawet o nasze życie. Ale nawet przez moment nie dopuszczałam do siebie myśli, że ten sen może okazać się wprost proroczy. Nie przypominam też sobie, abym była w naszym Kościele w Swojczowie 04 i 11 lipca, chyba właśnie w te niedziele nie poszłam.

Pamiętam natomiast, że 07 może 08 lipca uzbrojeni Ukraińcy przyjechali do polskiej wsi Ludmiłpol i zabrali ze sobą z domów siedmiu polskich mężczyzn, w tym Feliksiaka. Jak się później okazało, zawieźli Ich nad rzekę Turię i tam Ich pomordowali, a ciała wrzucili do wody, może Ich nawet potopili żywcem. Po tym wydarzeniu strach padł na całą naszą okolicę tak, że wielu zaczęło się ukrywać. Niektórzy zaś, już wtedy porzucili dorobek, niekiedy całego życia i przekradali się spieszenie do miasta Włodzimierza Wołyńskiego. Również i nasza rodzina nosiła się z takim zamiarem, sytuacja była więc napięta do ostatka. Tymczasem sobota 10 lipca i „Krwawa Niedziela” 11 lipca przebiegły na Teresienie bardzo spokojnie. Póki co nic nie wiedzieliśmy, że tego dnia Ukraińcy dokonali takiej masakry w naszej gminie i w całym naszym powiecie.

12 lipca był ładny i słoneczny poniedziałek, dlatego tatuś, mamusia i ja wybraliśmy się na łąkę w okolice Kohylna, aby grabić siano. Tam mamusia udała się na bliską Barbarówkę, aby odwiedzić swoich rodzonych braci Jakuba i Franciszka Borkowskich. Chciała wywiedzieć się od nich, co bracia w tej trudnej sytuacji zamierzają dalej robić, czy chcą wyjeżdżać do miasta jak inni, czy raczej zostają jeszcze na swoich gospodarstwach. Gdy tam więc przyszła, zastała ich gotowymi do wyjazdu, wszystko mieli już spakowane. Rozmawiała z nimi, a potem wróciła do nas, Borkowsy tymczasem, jeszcze tego samego dnia wyjechali do miasta, zaś po wojnie szczęśliwie wyjechali na Zamojszczyznę. Gdy mamusia poinformowała nas o ich ucieczce, zaraz porzuciliśmy grabienie trawy i przez Kohylno wróciliśmy do domu. Mieliliśmy jednak złe przeczucia, baliśmy się nocować w domu i tej nocy spaliliśmy w pobliskim lesie, była z nami tej nocy także sąsiadka Sobolewska. Tej nocy było spokojnie, to była ciepła, lipcowa noc i nie przypominam sobie deszczu, ani burzy. Rano powróciliśmy do naszych domów, a ja chciałam iść do Bydychajów do Jadzi, by wywiedzieć się, co u nich słychać? Nie doszłam, bo tak w połowie kolonii, dowiedziałam się, że wczesnym rankiem ktoś zamordował Polaka Stanisława Gdyrę z Teresina. Żona zamordowanego Stanisława ocalała bowiem w chwili napadu wypędzała krowy na pastwisko i była nieobecna, a gdy wróciła Stach już nie żył. Było o tym bardzo głośno w całej naszej kolonii.

Te dramatyczne okoliczności nie skłaniały jednak rodziców do gwałtownej ucieczki, mama bowiem rozczyła ciasto na chleb. W tym czasie do naszego domu przyszła sąsiadka Jankowska lat około 50 i powiedziała tak: *„Jadziu dziś przyjechała do mnie moja córka z mężem i z dziećmi ze Świnarzynia i wyznała mi, że w ich okolicy Ukraińcy mordują Polaków. Im udało się uciec i przybyli tutaj do nas na Teresin. Po drodze spotkali także ks. Franciszka Jaworskiego, który właśnie uciekał ze Swojczowa do miasta Włodzimierza Wołyńskiego. Widząc moją córkę z rodziną, zatrzymał się na chwilę i tak radził: ‘Niech ludzie nie żałują pietruszki, marchewki, tylko niech ratują życie, zabierają całe rodziny i uciekają do miasta!’”* . Gdy mamusia i tatuś

usłyszeli te słowa od razu zaczęli się szykować do wyjazdu. Mamusia już nie piekła tego chleba, tylko wrzuciła odzież na wóz, powsadzała wszystkie dzieci i jeszcze tego samego dnia, po południu pojechaliśmy przez Smołarnię i Barbarówkę do miasta Włodzimierza Wołyńskiego. Razem z nami do miasta uciekła, także nasza siostra Władysława, która jeszcze w 1938 r. , wyszła za mąż za Polaka Antoniego Buczek i zamieszkali w Tartaku Kohyleńskim. Gdy zrobiło się dość niebezpiecznie Ukraińcy nakazali, aby Antoni rozebrał swój dom i postawił od nowa, już na swoim gruncie. Już nie było jednak kiedy budować, tylko ich czworo i nas osiem, razem wyruszyliśmy do miasta Włodzimierz Wołyński. Krowy były wygonione na pastwisko i gęsi także, wszystko trzeba było zostawić z ciężkim sercem i jechać, choć nikt z nas nie wiedział, jaki los czeka nas za najbliższym zakrętem.

W tym czasie banderowcy nie wzbraniali jeszcze, swobodnie przejechać do miasta i tak było do 15 lipca. **Wśród naszych ludzi chodziła taka pogłoska, że Ukraińcy zapowiedzieli, że do miasta można swobodnie wyjeżdżać, tylko do 15 lipca, a po tej dacie już nikogo swobodnie nie przepuszczą.** I rzeczywiście, bez większych przeszkód, dotarliśmy do samego miasta, na przedmieściach było już pełno ludzi, którzy uciekli jeszcze przed nami. Na krótko zatrzymaliśmy się na Cegielni, mieszkał tam już mojej mamy brat Jan Borkowski ze swoją rodziną. Jego najbliższy sąsiad Ukrainiec miał tam dużą szopę, w tej właśnie szopie schronienie znalazło blisko 10 rodzin. Tymczasem mój ojciec udał się do Włodzimierza Wołyńskiego, gdzie na ulicy Gnojeńskiej wypatrzył małą szopę na jednym z podwórek. Wszedł do tego domu i prosił, byśmy mogli się tam zatrzymać, choćby na parę dni, żeby choć te małe dziecięta, były pod dachem od deszczu. Właścicielka pani Korzenioska wyraziła zgodę i tak zatrzymaliśmy się na ulicy Gnojeńskiej. Pani Korzenioska była Polką, która sama wychowywała dwójkę dzieci, jej mąż przebywał w niewoli, miała małe mieszkanie, ale przyjęła nas i jakoś wszyscy się zmieścili. Mieszkaliśmy tam do końca lipca, potem tatuś znalazł dla nas pusty magazyn i tam mieszkaliśmy do marca 1944 r. .

Ledwie tydzień po naszym przybyciu do miasta, a zatem około 19 lipca 1943 r. , moja mamusia i inna Polka o nazwisku Antoniak, udały się drogą do Teresina. Szły tak w biały dzień na piechotę, **gdy doszły na Smołarnię zauważyły, że z przeciwka od strony Teresina, jedzie dwie furmanki pełne ludzi, rozpoznały chyba rodziny Gdyrów i Jaroszyńskich. Z daleka jeszcze zobaczyły, że ludzi tych zatrzymali uzbrojeni Ukraińcy i skierowali na podwórko,** gdzie przed wojną mieszkał Polak Kula – Lis, lecz gdy przyszli Sowieci w 1939 r. , to wkrótce zabrali jego rodzinę na Syberię. Mamusia i Antoniakowa widziały, jak Ci ludzie wjechali między te zabudowania i zaraz słyhać było kilka strzałów oraz przeraźliwe krzyki mordowanych ludzi. W tej sytuacji rzuciły się do gwałtownej ucieczki i wracały już polami, gdzie gęsto stały zboża.

LOSY RODZINY GDYRÓW I JAROSZYŃSKICH Z TERESINA

Nazywam się Celina Wenena, mam 71 lat, mieszkam we wsi Kopyłów 49, gm. Horodło, powiat Hrubieszów, woj. Lubelskie. Urodziłam się 25 maja 1932 r. w kolonii Gandzaba, gm. Włodzimierz Wołyński, powiat Włodzimierz Wołyński, woj. Wołyńskie. Mój tatuś nazywał się Władysław Palonka, a mamusia Maria Palonka z domu Hyś. Nasza kolonia była stosunkowo mała, liczyła tylko 9 rodzin polskich, za to bardzo blisko znajdowała się duża wieś ukraińska Poniczów. Do miasta było od nas bardzo niedaleko, zaledwie 2 km. . Jako dziecko czułam się bardzo szczęśliwa, miałam wesołe rodzeństwo, aż cztery siostry, w tym Ludwika, Helena i Krystyna. Dużo wspólnie się beztrudnie bawiłyśmy, a było gdzie bowiem był nowy dom,

wystawiony tuż przed II wojną światową oraz mały sad owocowy. Nasi koledzy i koleżanki to przeważnie Polacy, przy czym znaleźliśmy też Ukraińców i pamiętam, że przed wojną nie było między nami większej różnicy, nie przypominam sobie jakichkolwiek nieporozumień na tle narodowościowym. Dla przykładu mój tatuś Władysław miał wielu zaprzyjaźnionych Ukraińców, którzy często bywali w naszym domu.

Już jako dziecko wiedziałam, że mamy dużą rodzinę ze strony tatusia na kolonii polskiej Teresin, w parafii Matki Bożej Swojczowskiej. Wielokrotnie jako dziecko chodziłam tam z tatusiem na piechotę, a trzeba było pokonać około 10 km przez Barbarówkę, Smolarnię, Kohylno, potem był już Teresin. Bywałam także osobiście na różnych imprezach okolicznościowych, dla przykładu na weselu mojego siostrzeńca Jana Gdyry, który wziął sobie za żonę ładną kobietę Adelę z domu Roch. Uroczystość zaślubin odbyła się w Kościele w Swojczowie, jeszcze przed wybuchem II wojny światowej i była niezwykle piękna. Udane i radosne było przyjęcie w domu pani młodej na Zastawiu w Kohylni. Ach jakże wtedy dużo śpiewano i jak wdzięcznie tańczono, ja sama oczywiście zajęta byłam zabawą z dziećmi, dlatego bardzo miło wspominam tamto przyjęcie. Po weselu młodzi zamieszkali w domu Adelki ponieważ ciotka Emilia Gdyra, mając jeszcze dwóch synów, nie chciała ich brać do swojego domu na Teresinie. Niestety żyli bardzo krótko bowiem Adelka zmarła już półtora roku po ślubie, możliwe że były to powikłania przy porodzie. Nie słyszałam żeby mieli jakieś swoje dzieci. Janek niedługo po śmierci żony, ponownie się ożenił, tym razem z Eugenią lat około 30, a potem razem wyjechali do Ameryki. Wiem o tym dobrze, gdyż przez pewien czas przychodziły listy z Ameryki do tatusia.

Rodzina naszego tatusia na Teresinie była bardzo duża bowiem mieszkało tam jego trzy rodzone siostry oraz ich rodziny, w tym: Tekla Jaroszyńska z d. Palonka lat około 50, jej mąż lat około 60 i troje ich dzieci, druga siostra Emilia Gdyra z d. Palonka lat około 40 i jej mąż Stanisław Gdyra lat około 50 oraz ich trzech synów: Jan, Stanisław lat około 28 oraz Tadeusz lat około 22, który choć był niemy ożenił się z Zofią z domu Krakowiak lat około 19. Trzecia siostra tatusia była jeszcze panną, lat około 18 i miała na imię Zosia. Mój tatuś Władysław opowiadał mi osobiście jeszcze latem 1943 r. tak: *„Chłopi ukraińscy przyjechali rano w niedzielę furmankami na naszą kolonię Teresin i zajechali na podwórko naszych rodzin. Właśnie wtedy cała moja rodzina, wszystkie siostry i szwagrowie oraz ich dzieci, zostali pod przymusem załadowani na wozy i pod eskortą Ukraińców, uzbrojonych w siekiery, widły i szpadle, zawiezieni do Kohylna. Tam wszystkich, jeszcze żywych wrzucono do studni i tak bestialsko zamordowano.”*

Tatuś dowiedział się o tym wszystkim od ludzi w naszych stronach, którzy historię tę opowiadali sobie z ust do ust, opowiadał dalej tak: *„Poza tym, jest jeszcze jeden świadek naoczny, który zrzędzeniem losu osobiście przeżywał, tę straszną tragedię naszej rodziny. Chodzi o moją bratową Stanisławę Gdyra, żonę Stanisława Gdyry. Otóż mieli oni już dwóch synów i jedną córeczkę, a z czwartym dzieckiem Staszka była właśnie w stanie błogosławionym, mieszkali w swoim domu na Teresinie, właśnie ona opowiedziała mi, co się wtedy właściwie wydarzyło, mówiła tak: ‘Tego ranka kiedy był pogrom ludności polskiej na Teresinie, wstałam rano i wyszłam pogonić krowy na pastwisko pod niedalekim lasem, przez drogę tylko około 50 m. Gdy znalazłam się już w lesie, nagle usłyszałam straszny pisk małych dzieci, dochodzący z naszego domu. Przestraszyłam się bardzo, od razu chciałam gonić na pomoc, ale nie miałam odwagi tam iść, dlatego przykucnęłam na brzegu lasu i ukryta pod krzakiem obserwowałam, co się takiego dzieje, wkłóło naszego domu. A ponieważ odległość,*

była bardzo mała, wszystko widziałam bardzo dokładnie, niemal jak na dłoni, słyszałam także wyraźnie rozmowy i padające słowa.

Tak więc na sampierw zobaczyłam, że Ukraińcy uzbrojeni w siekiery, widły i szpadle, wypędzają z naszego domu mojego męża i dzieci. Następnie Staszka wrzucili na wóz dosłownie jak psa, natomiast moje troje dzieci brutalnie wrzucili do jamy po kartoflach, która znajdowała się w obrębie podwórka, niedaleko naszego domu. **Moje kochane dzieci były żywe i przytomne, kiedy ci barbarzyńcy zaczęli zasypywać je ziemią. Słyszałam ich dramatyczne krzyki i piski oraz głośnie, dotykające najgłębiej, jak można sobie chyba, po ludzki wyobrazić wołanie: „Mamo ratuj! Mamo ratuj!”**. O Boże! Ich głosy słyszałam jeszcze przez chwilę, nawet wtedy, gdy były już całkowicie zasypane ziemią. Nie da się opisać w najmniejszym stopniu, co ja w tym momencie przeżywałam, **a sama do końca, nigdy chyba nie poznam wielkości tego miecza, który w tym momencie przebił mi serce.** Nikomu, naprawdę nikomu nie życzę, doznawać w swoim życiu, podobnego doświadczenia. Tymczasem zbrodniarze zabrali mojego męża i powieźli w stronę wsi Kohylno. Po chwili zobaczyłam, że tą samą drogą jedzie jeszcze trzy inne furmanki, również pełne ludzi. I tych Ukraińcy powieźli w stronę Ich przeznaczenia, w stronę wsi Kohylno. Przy czym gdy Ich tak transportowali, nie tylko widziałam, ale słyszałam wyraźnie głosy samych ofiar. Błagali uzbrojonych w siekiery ludzi mówiąc: „Puśćcie nas! Co my wam zrobili?! Gdzie wy nas tak wieziecie?!”. Ale na te pytania nie było żadnej odpowiedzi i już po chwili, na moich oczach, znikali na horyzoncie. Ja tymczasem wciąż bardzo przerażona tymi wydarzeniami, siedziałam w ukryciu, aż do wieczora.

Gdy jeszcze było widno zobaczyłam małą dziewczynkę o imieniu Tonia, była z naszej wsi z Teresina. Bardzo się bałam, ale czułam, że nie mam wyboru, dlatego zawołam cicho na nią: ‘Tonia, Tonia przynieś mi trochę chleba!’ . Dziewczynka odpowiedziała grzecznie i obiecująco: ‘Dobrze ciociu przyniosę!’ . Poszła i nie było jej z powrotem przez jakiś czas, czekałam jednak cierpliwie bojąc się, aby mnie kto tutaj nie znalazł, ale nawet Toni nie ufałam do końca. To wszystko prawdopodobnie nie zdało by się na nic, gdyby nie bezpośrednia interwencja Nieba, które posłużyło małym stworzonkiem. **Otóż podczas tego oczekiwania na kruszynę chleba do mojej jamki, w której się ukrywałam, wpadła nagle niespodziewanie bardzo duża ropucha i trzy razy zacharczała. W tym momencie proszę mi wierzyć, stało się ze mną coś niesamowitego** bowiem ogarnął mnie, właściwie to przeszył mnie straszny lęk: ‘A może ona mnie zdradzi, albo ktoś inny mnie tu znajdzie, zamorduje mnie i moje dzieciątko.’ . Wskoczyłam więc szybko z tej jamki i ukryłam się pod krzakiem 10 metrów dalej od tamtego miejsca, na tyle jednak blisko, aby widzieć tamto miejsce. Chciałam dać znać Toni, gdy przyjdzie z jedzeniem i już dosłownie parę minut później, usłyszałam wyraźne kroki, kilku zbliżających się osób.

Zadrżałam ze strachu, gdy zobaczyłam Tonię oraz kilku Ukraińców z siekierą, widłami i szpadlem. Gdy stanęli nad tą jamką, w której jeszcze parę minut temu byłam, Ukrainiec zapytał dziewczynkę: ‘De ona?!’ , a ona zaraz usłużnie odpowiedziała: ‘Tu była!’ . Wtedy Ukraińcy widząc, że uciekłam zaczęli dokładnie przeszukiwać las dookoła mnie. Dosłownie trzy razy przechodzili tuż obok mnie, ale żaden mnie nie dojrzał. W końcu zrezygnowani odeszli, skąd przyszli, a ja siedziałam jeszcze przez pewien czas, w tym swoim ukryciu, a potem lasem przedostałam się do miasta Włodzimierz Wołyński.” . [Sławomir Roch, Wspomnienia Celiny Wenena z d. Palonka z koloni Gandzaba na Wołyniu, Zamość 2004 r., s. 1-3. Wspomnienia pani Celiny nie zostały opowiedziane przez panią Helenkę Wójtowicz, ale zostały spisane w domu pani Celiny Wenena we wsi Kopyłów na Zamojszczyźnie. Przy czym już 16. 07. 2004 r. w Święto Matki Bożej Szkaplerznej, zostały opracowane i przesłane do podpisu. Użyłem je w tym opracowaniu celowo, dodając do wspomnień pani Helenki, ponieważ są krótkie, ale ważne i bezpośrednio wiążą się z losem rodzin

Gdyrów i Jaroszyńskich, które w szerszym kontekście czasowo - przestrzennym, opisuje właśnie pani Helenka Wójtowicz.]

A ZBOŻE OBRODZIŁO TEGO ROKU PIĘKNIE

Tymczasem Stanisław i Maria Rokiccy, gdy dowiedzieli się, że my uciekliśmy pośpiesznie do miasta, przyszli z Ludmiłpola na nasze miejsce, zaopiekowali się dobytkiem i póki co, mieszkali na Teresinie. W początkach sierpnia Stach zabił świnię, a siostra Marysia przyniosła nam mięsa do miasta. Jakoś nas znalazła i zaczęła opowiadać, że na wsi cicho, a że nic się właściwie nie dzieje, a zboże z kłosa spada, a my tu siedzimy. Zachęcała nas wszystkich, abyśmy wracali na Teresin, bo trudna zima przyjdzie i będziemy starsznie głodować. Rodzice jednak zdecydowali się pozostać, wraz z nami w mieście, tylko nasza najstarsza siostra Irena lat 24, wraz z córeczką Celinką ok. 1 roczek, wróciły do naszej kolonii. Po tygodniu czasu Marysia wróciła ponownie i jeszcze bardziej nalegała, abyśmy wrócili bowiem pięknie obrodziło w tym roku zboże. Tym razem poszła moja mamusia, Lodzia, ja sama i Stasia, poszliśmy polami tak, aby nas nikt nie widział. Na Teresinie zjadliśmy posiłek i poszliśmy w pole żąć żyto, nastawialiśmy do wieczora wiele snopków. Na wieczór przyszyły do nas sąsiadki: starsza Topolankowa oraz Klimaszewska lat około 60, siadłyśmy na podwórku i zaczęłyśmy rozmawiać, co to będzie dalej i jak to się nasze sprawy dalej potoczą. Mówiły przejęte, że ich rodziny jeszcze nie wyjeżdżają zdradzały, że mają wykopany schron i w razie gdyby do czegoś przyszło, to się tam z Sobolewskimi wszyscy skryją. Ja sama wciąż miałam złe przeczucia, a wszyscy bali się bardzo. Właśnie wtedy przyszedł także na nasze podwórko Ukrainiec sołtys Środa i tak zaczął nam tłumaczyć: „*To jest kąkol, a to jest prenyca. Kąkol z prenycy trzeba wybierać!*”. Nic jednak więcej nie powiedział tak, że nie zdradził, czego miały dotyczyć się te słowa, ani czemu miało służyć jego opowiadanie. **Choć każdy z nas w swoim sercu domyślał się, że kąkol to Polacy, a pszenica to Ukraińcy. Nikt go jednak o to nie pytał,** tak że on chwilę potem zabrał się i poszedł dalej.

Tej nocy spałyśmy w kopkach na polu, bo bałyśmy się, aby nas Ukraińcy w domu nie pomordowali. **Nasze sąsiadki i siostry, były już mocno zaprawione i obyte z tym wszechobecnym lękiem, dlatego poszły spać do mieszkań, ale ja bardzo się bałam. Przecie to nawet ten wiaterek, co zaczął kołysać, to był jakiś bardzo smutny, dlatego powiedziałam mamie, że ja nie pójdę spać do mieszkania.** Po temu ja, mama i Stasia poszliśmy spać na pole, tam gdzie nastawialiśmy zżętego zboża i we trzy, w jednej kopce noc żeśmy przesiadziały. Rano tylko świt, wróciłyśmy do domu. Ja ze Stasią poszliśmy jeszcze spać do stodoły, a mama wydoiła krowy, gdy znów przyszyły do nas sąsiadki, by porozmawiać. Mamusia udała się też do innych w kolonii, by się wypytać, co się dzieje, ale właściwie nic nowego nie przyniosła. Wszędzie ludzie bali się bardzo i trwożyli, co to będzie z nimi dalej.

Ponieważ póki co, było spokojnie, wybrałyśmy się ponownie w pole i pracowałyśmy przy żniwach. Właśnie tam przyszyła do nas, przed południem, nasza siostra Irena i powiedziała do nas tak: „*Rzucie tę robotę, bo to już nikomu nie będzie potrzebne, przed minutą, byli w naszym domu uzbrojeni Ukraińcy po tatusia i upierali się, że wczoraj przyjechał do domu.*”. W tej sytuacji odeszła nam ochota do dalszej pracy i zaraz wróciłyśmy do domu. Ledwie żeśmy weszły do mieszkania, ja zaczęłam wybierać wiśnie z pieca, bo siostra włożyła do suszenia, okno miałam na przeciw i widzę, że idzie dwóch Ukraińców z bronią. Stałam i nie mogłam się ruszyć, innych również opanowała podobna trwoga, lecz oni zapytali się grzecznie o ojca i gdzie teraz jest? Ja odpowiedziałam, że jest we Włodzimierzu, pytają zatem nas dalej, kiedy tam pojechał. Mówię w naszym imieniu, że jak wszyscy wyjeżdżali, a oni na to

przecząco, że niby wczoraj miał przyjechać na Teresin. Zaczęli się więc rozglądać po domu, zaglądali do pokoju, a ponieważ go nie było, oznajmili nam, że spotkali go wczoraj w Poniczowie i zapewniał, że właśnie jedzie na Teresin. My tymczasem wyjaśniłyśmy, że widocznie tu nie dotarł, bo go tu jak dotąd nie widziałyśmy. Pytali się zatem, czy my chodzimy czasem do miasta, odpowiedziałyśmy twierdząco, że chodzimy. Wtedy oni na to tak: „*To idźcie do miasta i powiedźcie swojemu tacie, niech przyjeżdża na Teresin, bo jest nam bardzo potrzebny.*” . Ja zaraz spieszenie odpowiedziałam, że dobrze! Po tym odeszli, a my zaraz wyruszyłyśmy do miasta, już nawet obiadu żeśmy nie jadły, choć był ugotowany, tylko sierpy w rekę i w drogę. Wcześniej, tym razem, to my prosiłyśmy nasze siostry, aby uciekały z nami, póki jeszcze mogą, bo tu nic dobrego je nie czeka. Oczywiście nawet przez moment nie myślałyśmy, by ponownie wracać na Teresin. Nasze siostry odpowiedziały nam wtedy tak: „*Idźcie wy teraz, a my przyjdziemy do was za jakieś dwa, trzy dni. Razem będzie nas za duża grupa.*” . I myśmy poszły polami, po drodze wstąpiłyśmy jeszcze do Rokickich, a potem naszłyśmy brata Stanisława, który właśnie szedł do nas na Teresin z Włodzimierza Wołyńskiego. Zawróciłyśmy go i razem już szliśmy polami do miasta, gdzie i tym razem szczęśliwie dotarłyśmy, a brat już w drodze opowiedział nam, co się właśnie wczoraj na Poniczowie wydarzyło.

To był ostatni raz, jak widziałyśmy nasze siostry za życia. Zostały już tam na wieczność, uświęcając tę ziemię swoją męczeńską krwią. Od tamtego dnia wszelki ślad po nich zaginął, jestem prawie pewna, że zostały bestialsko zamordowane, jak Inni, podczas napadu banderowców na Teresin. My tymczasem szczęśliwie dotarłyśmy do miasta. Tam odnalazłyśmy tatusia, który opowiedział nam, jak wczoraj próbowali razem z naszym wujkiem Janem Borkowskim i z tym Ukraińcem, co to dał schronienie, dostać się wozem na Teresin. Wybrali się zatem na wieś, żeby przywieźć coś do jedzenia, bo w mieście panowała już straszna bieda. A ze wsi zawsze się coś jednak przywiozło, a to ziemniaki, warzywa, owoce, a nawet kuraka, jeśli można było gdzieś wypatrzeć.

Mieli szczęście bowiem, gdy jechali w kierunku Barabarówki, pochwycili ich Ukraińcy, ale zawsze Optarżność Boża czuwa. Akurat bowiem na motorach nadjechało dwóch znajomych ojca w niemieckich mundurach, to był znajomy volksdojcz z Dominopola. Nie zatrzymali się, tylko pojechali do Włodzimierza, wzięli jeszcze czterech Niemców i zaraz udali się na Poniczów. Dzięki poręczeniu Niemców, tatuś i wujek Jan Borkowski zostali przez Ukraińców zwolnieni, przy zapewnieniu, że pojedą teraz na Teresin. Naturalnie dojechali tylko do Smolarni, a potem inną drogą wrócili pod ukryciem do miasta, wiedzieli już, że Ukraińcy po nich przyjdą.

OFIARY „BOHATERSKIEJ UPA” I ŚWIADKOWIE

Od tych wydarzeń, jeszcze przez krótki czas panował spokój, ale o tym co się działo na Teresinie, już nie wiedzieliśmy bowiem nie mieliśmy stamtąd, żadnych informacji. Tymczasem w mieście panował głód, brakowało żywności i ludzie zapadali na choroby, dlatego Niemcy zezwolili na organizowanie wypadów po żywność do ukraińskich wiosek i na pola. W tym czasie Polacy zorganizowali także sieć placówek samoobrony, które ochraniały Włodzimierz Wołyński oraz zgromadzonych tam ludzi, najczęściej uciekinierów z najbliższych okolic. Jedną taką placówką znajdowała się na terenie starej Cegielni, około 4 km od miasta i właściwie to ta placówka, okazała się najbardziej pożyteczna w niesieniu wszelkiej pomocy. Wypadów po żywność poza miasto, było bardzo dużo, w tygodniu zdarzały się dwa, a czasami to i trzy takie wypadki, ludzie musieli coś jeść, by po prostu przeżyć.

Osobiście byłam po żywność kilka razy, dla przykładu w okolicach kolonii Marcelówka.

Razu jednego z samego rana, przyszli łapać na przymusowe roboty do III Rzeszy, na szczęście był z nimi Niemiec. Ojciec bardzo go prosił, aby nas nie zabierali, bo na wsi została reszta dzieci, a jakby wszyscy byli razem, to byśmy chętnie pojechali. Wtedy Niemiec przeliczył nas, a widział, że są z nami małe dzieci, dlatego zapytał, czy mamy co jeść? Ojciec odpowiedział twierdząco, że mamy dla siebie i starczy nam na przeżycie, wtedy sobie nas odpuścił. I tak nieustannie trzeba było się ukrywać, a w dzień jechać, by przynieść coś do jedzenia, dla tak wielu osób. Już dość długo mieszkaliśmy u pani Korzenioskiej, dlatego ojciec wyszukał dla nas pusty magazyn, róg ulic Gnojeńskiej i Kowelskiej. Miejsce było dogodne z uwagi na możliwość schowania się i gdy następowało jakieś poruszenie w okolicy, zaraz się chowaliśmy w piwnicy, na strychu, a nawet w bieliźnie pod łóżkiem.

Mimo wszystko w mieście panował spokój i czuliśmy się tam o wiele bezpieczniej, często chodziliśmy do Kościoła Najświętszego Serca Pana Jezusa. Spotykaliśmy tam naszych znajomych z Teresina i okolic, dla przykładu w sierpniu rozmawiałam z panią Wesołowską, Polką z Tartaku. Pamiętam, że poszłam w niedzielę rano do kościoła, tam zobaczyła mnie Wesołowska, kiwnęła na mnie głową, a gdy wyszłam ze świątyni, pytała mnie czy wiem, że był pogrom na Teresinie? Ona to właśnie opowiadała mi także, jak zginął jej mąż i kilku innych Polaków, mówiła tak: „*Ukraińcy zamordowali mojego męża oraz kilku innych Polaków na Tartaku Kohyleńskim. Powrzucał Ich do studni, a potem rozerwali Ich granatami!*”. Długo z nią nie rozmawiałam, a ona jeszcze tylko dodała: „*Czy wy wiecie, że Twoje siostry, też zostały już zamordowane na Teresinie?*”. I na tej strasznej informacji zakończyła się nasza rozmowa, a ja szybko pobiegłam do naszych, aby im powiedzieć o tym, co właśnie usłyszałam. Gdy powtórzyłam rodzicom te czarne wieści, bardzo wtedy rozpaczali, ale nic nie mogliśmy już dla Nich, biednych zrobić.

Nie byłam już przerażona, od tygodni i na codzień w mieście spotykałam wielu poranionych ludzi, wielu uciekinierów z różnych stron Wołynia, niekiedy do miasta przywożono także ciała pomordowanych. Raz jeden, gdzieś pod koniec sierpnia Niemcy przywieźli siedem trumien, a w nich ciała pomordowanych. Właśnie przechodziłam tą ulicą i widziałam, że był tam już tłum ludzi, zatem popatrzyłam i ja. Byłam przerażona tym, na co teraz patrzyłam. To była polska rodzina z polskiej wsi Włodzimierzówka, **wszyscy mieli wydłubane oczy, tak że wisiały na policzkach, języki mieli powyciągane, aż poniżej brody, brzuchy były porozcinane, a do środka zapchany był drut kolczasty. Czworo dzieci miało powykręcane nogi i to tak okrutnie, że aż skóra popękała na nogach.** Stałam tam przez chwilę i słyszałam, jak ludzie opowiadali sobie tak: „*Ten zabity dziadek był Ukraińcem i dostał rozkaz od innych Ukraińców: 'Albo ty zabijesz swoją rodzinę, albo my wykończymy was wszystkich!'* . *Ponieważ ten dziadek, podobno się opierał, zbrodniarze zrobili tak, jak zapowiedzieli.*”. Gdy ludzie powtarzali sobie tę historię z ust do ust, Niemcy fotografowali zmasakrowane ciała rodziny polsko – ukraińskiej. Długo tam już nie stałam i zdruzgotana wróciłam do domu. Zdarzenie to miało miejsce, już po rzezi na Teresinie.

Kilka dni po tym, jak spotkałam Wesołowską do naszego domu przyszedł, mój szwagier Stanisław Rokicki lat ok. 25. Z miejsca zaczął nam opowiadać, co się wydarzyło w ostatnich dniach na naszym Teresinie, mówił z przejęciem tak: „*Ci co nie uciekli do miasta, to Ukraińcy zachęcali ich, żeby zbierali zboże, co było na polach i wszystko zwieźli z pól w sterty. I w tą właśnie sobotę wszystkim dali po kawale mięsa, żeby się jeszcze najedli, a w nocy zaszli od strony Włodzimierza*

Wołyńskiego i kogo spotkali, to już żywy nie uszedł. Na szczęście już od pewnego czasu, wszyscy baliśmy się o swoje życie i nie nocowaliśmy w naszych domach. Ja i moi koledzy, (w tym chyba Sobolewski), spaliśmy zwykle w naszej stodole na wyschniętej koniczynie. Moja żona Maria z naszym synkiem Kazimierzem, zaledwie 6-miesięcznym dzieckiem, Irena z córką Celinką oraz Leokadia nocowali wszyscy razem, zwykle w naszym domu. I tej tragicznej nocy, kiedy banderowcy urządzili nam rzeź na całym Teresinie, było tak samo.

Jeszcze była noc, gdy obudził nas gwałtowny brzęk bitych szyb oraz straszny, przeraźliwy krzyk mojej żony Marii oraz obu pozostałych siostr. Po chwili nastąpiła znowu gwałtowna cisza. My w tym czasie, zdjęci strachem, staraliśmy się głębiej zakopać w koniczynie. Baliśmy się bowiem, że teraz zaczną szukać także w stodole. Do świtu było już jednak cicho i spokojnie. Nad ranem, jak tylko się rozwidniło, wyszliśmy z ukrycia i starannie obszukaliśmy nasz dom i podwórko, ale nigdzie nie znaleźliśmy ciał pomordowanych, ani nawet śladów krwi. Jedyne pobite okna świadczyły, o tej tragedii, która się tu dziś wydarzyła, a której byliśmy świadkami. Ponieważ wciąż baliśmy wychodzić, gdzieś dalej, wróciliśmy do stodoły i przesiedzieliśmy tam, aż do wieczora. Gdy zaś zapadły ciemności, okrężną drogą przedostaliśmy się do miasta Włodzimierz Wołyński. W tej masakrze zginęło wielu naszych sąsiadów, choć były przypadki, jak u Sobolewskich, że chłopak dostał siekierą w głowę i przeżył, tak że w tej rodzinie ocalało troje dzieci.”

Staszek był zrozpaczony i nic już więcej, nie chciał nam opowiadać, a gdy tylko zakończył swoje świadectwo, spiesznie opuścił nasz magazyn. To był ostatni raz, jak go widziałam, od tego dnia nie mamy o nim żadnych wieści, może zaginął na wojnie, a może żyje jeszcze gdzieś w Polsce. Naturalnie **wszelki ślad po naszych siostrach, także zaginął i po dziś dzień nie wiemy, gdzie zostały złożone Ich ciała, gdzie spoczywają Ich doczesne szczątki, jest to wielka tragedia i bardzo bolesna Karta naszej rodziny.** Poza tym nie przypominam sobie, abym spotkała jeszcze kogoś, kto opowiedziałby mi swoje przeżycia z pogromu na Teresinie. Owszem spotykałam różnych ludzi z Teresina, ale jakoś nie mogę spaźniętać, już żadnych innych historii.

Innym razem, już nie mieszkaliśmy u pani Korzeniowskiej, chodziłyśmy ze Stasią za tory, bo tam nie łapali i wracałyśmy właśnie nad ranem do domu. Patrzymy, a na ulicy stoją Ukraińcy, drabiniasty wóz i wyłapują Polaków na roboty do Niemiec, złapali i nas. Akurat mama stała na podwórku i widziała, jak zagarneli na ten wóz i nas dwie, a było już trochę ludzi na tym wozie. Jeden Ukrainiec pilnował ludzi na wozie, a dwóch chodziło po domach i wyłapywało, kogo się dało. W tym trudnym położeniu, kto był odważny, to ryzykował i uciekał z tego wozu, a ja wszystko obserwowałam. Na ulicy Równej mówię zatem do Stasi: „*Skacz z wozu do tyłu i uciekaj, ile masz siły w nogach, tylko nie prosto, ale zygzakiem, choć by strzelał, to i tak Cię nie trafi. Ja jestem starsza, to jakoś sobie poradzę.*” . Tak się zresztą za chwilę stało i gdy byliśmy już blisko niemieckiego punktu zborczego, zobaczyłam podwórko i jakieś chlewiki. Zeskoczyłam sprawnie z wozu i wlałam do jednego z tych chlewików, a był to kurnik. Bardzo mnie tam wszy kurze oblażyły, ale siedziałam tam ze dwie godziny, bałam się bowiem wyjść, by mnie ktoś nie przyuważył.

Jesienią tego samego roku 1943, na przedmieściu Włodzimierza Wołyńskiego, na ul. Gnojeńskiej, Ukraińcy w nocy napadli na polską rodzinę i zamordowali cztery osoby. Ofiarami było młode małżeństwo oraz dwoje Ich małych dzieci, lat około 4 i 6. Rano jak tylko rozeszła się ta straszna wieść wśród Polaków, poszliśmy i my zobaczyć, co tam się właściwie wydarzyło. Kiedy tam przybyłam, zobaczyłam mały drewniany dom, było tam już dużo ludzi. Zaraz weszłam i ja do środka, ujrzałam

kobietę skuloną przy kuchni, znać chciała rozpalić ogień na rano i tam dopadli ją oprawcy. Ciało jej męża leżało w pokoju, a obok niego dwóch małych synków. Popatrzyliśmy ze smutkiem i wróciliśmy do naszego miejsca zatrzymania.

OSTATNIE MOCNE AKORDY NA RODZINNEJ ZIEMI

Zima tego roku była ciężka, ale jakoś udało się wytrzymać. Święta Bożego Narodzenia były smutne i bardzo ubogie, ale i tak starczyło sił, aby w gronie rodzinnym pośpiewać kolędy. Mój brat Staszek chodził nawet z kolegami i kolędowali w mieście po polskich domach. Tegoroczna Pasterka była w Kościele Najświętszego Serca Pana Jezusa, było bardzo dużo ludzi, choć więcej było słychać szlochań, niż samego śpiewania kolęd. Takie to były święta tego, tak bardzo tragicznego roku. Czekaliśmy w mieście cierpliwie, co będzie dalej, tymczasem wiele polskich rodzin wyjeżdżało za rzekę Bug na Zamojszczyznę, widać Niemcy nie robili specjalnych trudności. I choć była naprawdę ostra zima, rodzice także coraz częściej powtarzali o możliwym naszym wyjeździe, w końcu zdecydowali się i 15 marca 1944 r. , wyjechali z całą naszą rodziną do Jeziórki pod Warszawą. W drodze zatrzymali się jednak we wsi Siedliszczki, niedaleko Piask Luterskich. Zostali bowiem ostrzeżeni, że w okolicach Lublina Niemcy zatrzymują ludzi i kierują na Majdanek, który był ogromnym obozem śmierci. Moi rodzice już wiedzieli, że ta nazwa to pewny wyrok śmierci, dlatego zostali w Siedliszczkach na dłużej.

Tymczasem ja postanowiłam, że nie pojedę z nimi, mam już swoje lata i sama mogę o sobie stanąć. Myślałam już poważnie, by dołączyć do polskich partyzantów i zaraz po rodziców wyjeździe, udałam się sama na Bielin. A był wtedy śnieg po kolana i chociaż się bałam, jednak szczęśliwie dotarłam na miejsce. Zaraz zgłosiłam się do sztabu polskich partyzantów, gdzie oświadczyłam, że chcę wstąpić do formującej się polskiej dywizji Wojska Polskiego. We Włodzimierzu Wołyńskim głośno było bowiem, że w okolicach Bielina, formuje się prawdziwa polska dywizja. I choć jak dotąd nie próbowałam angażować się w konspirację, teraz widać nadszedł ten czas. W sztabie przyjął mnie Jakubowski, a na listę wpisał jakiś „Brzoza” – młody żołnierz AK, otrzymałam pseudonim „Dama”. Potem „Brzoza” zaprowadził mnie do rzeźni, gdzie kierownikiem był Trojanowski, to było moje nowe stanowisko pracy. Pracowała tam już Stefania Urbaniak, z którą się później zaprzyjaźniłam, gdyż spędzałyśmy razem dużo czasu, razem też nocowałyśmy w kwatermistrzostwie na Bielinie. Obecnie mieszka w Zielonej Górze w Domu Kombatanta przy ul. Lipowej.

Nasz przełożony kwatermistrz nazywał się Michał Kasproicz ps. „Baj” , ale nigdy go nie spotkałam, a może tak, lecz nawet nie wiedziałam, że to on właśnie. To była naprawdę ciężka praca, pracowałam tam do 17 kwietnia t.j. do pierwszego dnia Świąt Wielkanocnych 1944 r. . W tym dniu hitlerowscy lotnicy zgotowali nam i wszystkim mieszkańcom Bielina, istne piekło. Duża polska wieś została zrównana dosłownie z ziemią, wielu ludzi i żołnierzy zginęło, straty były ogromne. To jest cena wojny, to jest cena miłości Ojczyzny, aż po Krzyż, aż do samego końca. Nie można zapomnieć wkładu mieszkańców Bielina, nie można zapomnieć Ich daniny krwi, Ich ofiary z życia dla wolnej Polski. Wobec silnego naporu hitlerowców także z lądu, nasze dowództwo ewakuowało naszą 27 Wołyńską DP AK do lasów Szackich.

Marsz pośród nieustannych walk i potyczek, trwał długo, był ciężki i bardzo uporczywy. Przechodziliśmy też przez lasy Mosurskie i bagna, trzymaliśmy się tam za ręce, żeby nie utonąć. W końcu dotarliśmy do jakiejś dużej rzeki, w trudnych warunkach przeprawialiśmy na drugi brzeg. Tak doszliśmy, aż w okolice Lubomla, do torów kolejowych, gdzie rozpętało się prawdziwe piekło. W trakcie bardzo ostrej wymiany ognia, ginęło wielu naszych partyzantów, jeszcze więcej było rannych,

wszędzie słyszałam krzyki o ratunek, bądź błaganie, by ulżyć cierpieniu i dobić. To niemiecki pociąg pancerny czynił, takie spustoszenie w naszych szeregach. Działy się tam rzeczy okropne i póki żyć będę, nie zapomnę tych jęków i przesywających próśb kolegów, którzy błgali, by ich po prostu dobić.

Wtedy przyszedł rozkaz od naszego dowództwa, aby każdy ratował się na własną rękę. W tej sytuacji i ja ratowałam się ucieczką, w drodze spotkałam Polaka Adama Sęk i jego rodzinę, jak jechali furmanką w stronę kolonii Strzelce Krajeńskie. Tam się zatrzymaliśmy w pustym domu bowiem wieś była opuszczona. Mieszkaliśmy tam od 01 maja, aż do lipca roku 1944. W tym czasie bardzo się rozchorowałam, bardzo się przeziębiam, a mój organizm, był mocno wyczerpany. Ale na szczęście jakoś z tego wyszłam. Co jakiś czas pomagaliśmy kolejnym partyzantom, którzy różnymi drogami trafiali do nas. Byli podobnie jak ja wcześniej, w stanie skrajnego wyczerpania, jednak nieco wzmocnieni, odchodzili przez rzekę Bug na Chełmszczyznę.

Jak tylko dowiedzieliśmy się, że front przekroczył rzekę Bug zaraz przez most na rzece i przez Uściług, udaliśmy się spiesźnie do Hrubieszowa. Tam przenocowaliśmy i rano udałam się na piechotę do miasta Zamościa. Poszukiwałam swojej rodziny. W drodze złapałam okazję i przez Zamość, Lublin, dojechałam do Kurowa, gdzie przenocowałam. Następnego dnia dotarłam do Puław i dopiero tam spotkałam mojego wujka Bolesława Sykut oraz jego żonę, a rodzoną siostrę mojej mamy Katarzynę Sykut. Kiedyś też mieszkali na Tartaku Kohyleńskim, dlatego dobrze ich znałam. Zatrzymałam się u nich od lipca do sierpnia 1944 r. , gdyż w sierpniu wysiedlili ich do Kurowa, a ja udałam się razem z nimi. Stamtąd blisko już było do wsi Siedliszczki, gdzie zatrzymała się moja rodzina. Udałam się tam z cicią Katarzyną, a kiedy odnaleźliśmy rodziców, radości nie było końca.

NIECH TRWA PAMIĘĆ, NIECH STANĄ KRZYŻE NA MOGIŁACH

W Siedliszczkach mieszkaliśmy, aż do 13 lipca 1945 r. , kiedy to wszyscy wyjechaliśmy na Żuławy Wiślane. Zamieszkaliśmy we wsi Leszków, gm. Suchy Dąb, powiat Gdańsk. W roku 1949 poznałam Michała Wójtowicz i wyszłam za niego za mąż. Nasz ślub odbył się 28 lutego w kościele pw. św. Jana Chrzciciela we wsi Ciemlice, a zamieszkaliśmy w Leszkowie, w domu moich rodziców. We wrześniu 1949 r. opuściliśmy Leszków i Żuławy i przenieśliśmy się na Dolny Śląsk. Zatrzymaliśmy się we wsi Nieciecz, powiat Nowa Sól, aby w roku 1951 na stałe już osiaść w miasteczku Nowa Sól, gdzie mieszkamy po dziś dzień. Razem z mężem zbudowaliśmy harmonijny dom, a ciesząc się potomstwem, zaznawaliśmy radości życia rodzinnego, jak wszyscy ciężko pracowaliśmy. Nie było łatwo, tradycyjnie wychowani i z poakowską przeszłością, ciężko znosiliśmy komunistyczne zniewolenie kraju, były jednak mocne pocieszenia. Gdy mieszkałam na Kaczej Górcie w Nowej Soli, około 1954 r. miałam taki sen: *„Śniła mi się Matka Boża na niebie, była sama i widać ją było bardzo wyraźnie do pasa, tak jak wymalowana na niejednym Obrazie. Trzymała w dłoniach dużo pięknych, świeżych kwiatów, były białe, to były chyba lilie, w tym momencie uklęknęłam i zaczęłam wołać do Matki Bożej: „Matko Boża zlituj się nam Nami!”* . I w tym momencie się obudziłam.

Po kilku latach doznałam jeszcze innego, mocnego pocieszenia, a był to jak ufam sen natchniony: *„Śniła mi się Święta Rodzina: Pan Jezus, Maryja Matka Boża i św. Józef, stali tak razem, ale tak jak poprzednio, widziałam Ich tylko do pasa. Pan Jezus był podrośniętym chłopczykiem i stał w środku. Uklęknęłam i jak zwykle poprosiłam o litość nad nami, a sen się zaraz zakończył.”* .

Naturalnie nigdy nie zapomnieliśmy o naszych najbliższych, którzy na zawsze pozostali już, na umęczonej i zroszonej polską krwią Ziemi Wołyńskiej. Moje Siostry i Ich dzieci, zawsze byli obecni w naszych sercach, w naszej pamięci, w rodzinnych wspomnieniach i na modlitwie. Nasz dom rodzinny, był także Ich domem, domem Męczenników Wołynia z naszej rodziny. Tym bardziej, że utrzymywałam stałe kontakty z moimi przyjaciółmi z Teresina, którym również udało się przyżyć, a po wojnie osiedli na Ziemiach Odzyskanych. Szczególne kontakty łączyły nas z rodziną Rusieckich z Teresina, w tym z Halinką Kozelko z d. Rusiecka, która mieszka we wsi Tłumaczów w Kotlinie Kłodzkiej oraz z jej rodzoną siostrą Adelą Roch, zamieszkałą w pobliskiej wsi Gajów koło Radkowa. Naturalnie tych znajomości było dużo więcej.

Żywo interesowałam się także powojennymi losami żołnierzy z naszej 27 Wołyńskiej DP AK, których Boża Opatrzność skierowała w różne części Polski. Wielu z nich osiadło w Warszawie, zorganizowali tam bardzo prężny ośrodek działalności, który promieniował na całą Polskę. Nawiązałam z nimi kontakty i dzięki temu, mogłam uczestniczyć po latach, w wielu uroczystościach i Zjazdach, zorganizowanych przez kombatanów z 27 Wołyńskiej DP AK. Odżywały dawne przyjaźnie i wspomnienia, wszyscy dzieliliśmy się okruchami tego, co nam jeszcze w sercach, po tak drogim Wołyniu zostało.

Byłam dumna z tak wielu dokonań naszych środowisk, byłych żołnierzy 27 Wołyńskiej DP AK, jak choćby z jednego z najpiękniejszych pomników Warszawy. Szczerbiec, miecz Chrobrego ustawiony 12. 09. 1993 r. przy Alei Armii Krajowej, w pobliżu ul. Gdańskiej, na warszawskim Żoliborzu. Dzieło Kazimierza Danilewicza rzeźbiarza i projektanta na pamiątkę wiekopomnego dzieła, trwania polskości na Wołyniu, na Kresach przez ostatnie wieki. Zarazem symboliczny dar wdzięczności, Tym wszystkim, którzy życie swoje złożyli na Ołtarzu najdroższej Ojczyzny. Pan Danilewicz jest autorem także drugiego pomnika, odsłoniętego 13 lipca 2003 r. w tym samym miejscu, na Wołyńskim Skwerze. Nowy pomnik poświęcony został ofiarom ukraińskich pogromów w latach II wojny Światowej na Wołyniu i Kresach. Pomnik ma kształt płyty, odwzorowującej zarys granic przedwojennego, wołyńskiego województwa II RP, z której wyrastają wysokie, grube, granitowe kolumny w kształcie świec, po jednej dla każdego z 11 wołyńskich powiatów. Na każdej z kolumn umieszczono herb i nazwę powiatu. Kolumny zakończone są od góry „knotami” – lampami, od dołu są podświetlane reflektorami ukrytymi w bruku. Na prawo od pomnika znajduje się popiersie generała Jana Wojciecha Kiwerskiego ps. „Oliwa”, wybitnego dowódcy naszej 27 Dywizji, który zginął w 1944 r. podczas walk na Wołyniu. (informacja dotycząca popiersia „Oliwy” pochodzi od S.T. Roch)

Cieszyłam się że także w Warszawie w roku 1990, po latach żmudnej pracy, do druku oddana została znakomita praca, innego żołnierza naszej dywizji Józefa Turowskiego pt.: „Pożoga. Walki 27 Wołyńskiej DP AK”. Jest to praca bardzo dobrze udokumentowana, opisująca ze wszystkimi szczegółami bojowy, chlubny szlak naszej Dywizji. Nie sposób nie wspomnieć monumentalnej pracy państwa Władysława Siemaszko ps. „Wir” i jego córki Ewy pt.: „Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia 1939-1945 tom I i II.”. Książek o Wołyniu i naszych wołyńskich losach, było w moim życiu więcej, teraz mam nadzieję, że będzie jeszcze książka o losach mieszkańców naszej parafii w Swojczowie na Wołyniu. To cieszy, że powstaje tak wiele i tak różnych inicjatyw, a nie sposób opisać tutaj wszystkie, o których mi wiadomo, to jest bardzo budujące i dobrze rokujące na przyszłość.

Na pewno o wiele trudniej, byłoby dokumentować wydarzenia wołyńskie, gdyby nie mrówcza, powojenna praca setek wołyńskich rodzin, nadsyłających swoje

relacje, gdyby nie nasze liczne spotkania i okolicznościowe Zjazdy. **Dla przykładu na jednym z takich spotkań w Warszawie, usiedliśmy razem: Ludwik Szwyda ze Szczecina, ja z Nowej Soli i Eugeniusz Świstowski z Kopyłowa na Zamojszczyźnie.** Wspominaliśmy przedwojenne czasy, losy naszych najbliższych, mówiliśmy o okrucieństwie banderowców i o wciąż bezimiennych mogiłach naszych krewnych i rodaków na Kresach. **Podjęliśmy także próbę zliczenia ofiar ukraińskiego ludobójstwa na Teresinie i w Tartaku Kohyleńskim i naliczyliśmy razem ponad 120 osób.**

Na innym Zjeździe żołnierzy naszej 27 Dywizji, bodajże w Dubience nad Bugiem, spotkałam się i osobiście, długo rozmawialiśmy z pana dziadkiem Bolesławem Roch ps. „Jaworski”, żołnierzem por. Jana Ochmana ps. „Kozak” z naszej 27 Wołyńskiej DP AK. Było o czym pomówić i było o czym powspominać i choć czas zaciera wiele w naszej pamięci, jak zawsze odżywały tamte dni, spędzone na rodzinnej ziemi. Oboje doskonale znaliśmy przecież Kohyleński Las, Tartak, Teresin, Kohylno i Swojczów, teraz wracały tamte obrazy, z pięknego naszego dzieciństwa. Jako pamiątkę z tego spotkania, pozostawiam panu Sławkowi, naszemu historykowi zdjęcie z tego Zjazdu, na którym uwieczniona została moja rozmowa z panem Bolesławem Roch.

Nie sposób opisać wszystkich spotkań i Zjazdów dywizyjnych, ku pamięci pozostawiam panu także inne zdjęcie, na którym wraz z kolegami z Dywizji, stoję przy naszym Sztandarze 27 Wołyńskiej DP AK. Chcę jeszcze raz mocno podkreślić, że **to wszystko powyżej jest ważne, ale jeszcze ważniejsze jest dziś, by trwała pamięć o Tych, którzy oddali swoje życie za wiarę, za polską dziecinę, za rodzinną chatę, za Polskę, kochaną ojczyznę.** Nasze piękne pokolenia niepodległej Polski: „przesiane, rzucane jak kamienie na szaniec”, były ukształtowane na dewizie: Bóg, Honor, Ojczyzna. Te słowa to nie były wyprane slogany, my to mieliśmy wypisane głęboko w naszych sercach, tak czuliśmy i tak żyliśmy, służąc do końca, często płacąc za to najwyższą cenę. Dlatego dziś mówimy o Nich, którzy tam zostali na zawsze z wiarą: Męczennicy Wołynia, Dzieci Wołynia, które w obronie Kościoła Domowego konały, jakże często w najstraszniejszych mękach. **To jest mój testament, to jest testament żołnierzy naszej 27 Wołyńskiej DP AK, aby trwała żywa pamięć o naszych Ojcach, o naszych rodzinnych korzeniach wołyńskich. To jest nasze wspólne pragnienie, by na mogiłach naszych Ojców, Matek, Braci i Sióstr, wołyńskich Dzieci, mogły stanąć w końcu, choćby proste Krzyże,** jako znak tej Miłości, która trwa pomimo wszystko, która trwa przez pokolenia, do końca.

Mam świadomość, że taką symboliczną mogiłę i Krzyż dla mieszkańców dawnej kolonii polskiej Teresin, poświęcił już 09.08.1998 r. polski franciszkanin O. Leszek Kuszłaga i ks. Tadeusz Sokół w obecności świadków tamtej tragedii. Obecni byli także Stanisław Piwkowski ps. „Wrzos”, żołnierz 27 Wołyńskiej DP AK, pani Teresa Radziszewska z Zamościa i Eugeniusz Świstowski z Kopyłowa. Podobne uroczystości miały jeszcze miejsce w wielu innych, byłych wsiach i koloniach polskich, w tym i w samym Swojczowie, gdzie Krzyż stanął w miejscu zburzonej w sierpniu 1943 r. przez Ukraińców świątyni. Takich Krzyży ustawiono już bodajże ponad 30 na Wołyniu, ale cóż to jest wobec, jak słyszałam 2000 miejscowości, w których Ukraińcy mordowali Polaków na Kresach. Czy można dziś powiedzieć ze spokojnym sercem, że jedne mogiły są lepsze od innych, każdy człowiek przez godność Sakramentów świętych, posiada godność dziecka Bożego i ma niezbywalne prawo do godnego pochówku. Można było okrutnie zamordować, zagarnąć pracę całego życia, a potem przez tyle dziesiątków lat z tego żyć, to można także znaleźć środki na godny pochówek i choćby prosty Krzyż, dla wszystkich, którzy tam zostali.

To jest beczasowy obowiązek niepodległej już dziś Ukrainy, ale także państwa polskiego, które winne jest zadbać, by i tej sprawiedliwości stało się na Kresach zadość.

Słyszałam także, że w Zamościu na zamojskiej Rotundzie, urządzona została Wołyńska Krypta, jako symboliczne miejsce pamięci wszystkich pomordowanych na Kresach, a przede wszystkim na Wołyniu i w naszej parafii w Swojczowie. Zgromadzono tam setki tablic z nawiskami ofiar ukraińskich nacjonalistów, z zaznaczeniem miejsca i czasu kaźni, a w centralnym punkcie znajduje się urna z ziemią z miejsc dokonywanych mordów na całym Wołyniu. Jest to dla nas wielkim pocieszeniem i moralnym zadośćuczynieniem, to jednak w żadnym wypadku nie zwalnia dziś państwa polskiego od prac nad upamiętnieniem miejsc kaźni na Kresach. Nasze rodziny były obywatelami II RP, nasze rodziny wniosły niezbywalny wkład w rozwój naszego narodu i pomyślność naszej ojczyzny, zarówno przed jak i po II wojnie światowej, nasze społeczności płaciły podatki i wszelkie należności z tego tytułu, mają zatem dziś moralne prawo do godnego upamiętnienia, także miejsca swej męczeńskiej śmierci. I nie o zemstę, tu broń Boże chodzi, ale właśnie o pamięć i ludzką sprawiedliwość, o tę sprawiedliwość i prawdę w tym przypadku, także dziejową. O to się gorąco modłę, już tak wiele lat, zarazem w sercu swoim nie chowam urazy, a przebaczenie jest na moich ustach nieustannie, gdyż serce wciąż niekiedy boli. Jednakowoż przebaczyć nie znaczy zapomnieć. Tego wszystkiego o czym pisałam powyżej, nam wołyńskim dzieciom, zapomnieć nie wolno nigdy.

Spisane powyżej świadectwo, osobiście podyktowałam panu Sławomirowi Roch w moim domu w Nowej Soli na Dolnym Śląsku w dniach od 12. 03. do 16.03. 2004 r., a prawdziwość zawartych powyżej treści, potwierdzam własnoręcznym podpisem.

Helena Wójtowicz

P.S.

WIZYTA W NOWEJ SOLI

Pani Helenka Wójtowicz z d. Karbownik była osobą cichą i skromną, ale konsekwentną, była mocną osobowością, była raczej osobą niezauważalną, ale jak to się zwykło mawiać z charakterem. Mogłem się tym przekonać osobiście, gdy śmiało odpowiedziała na mój list, w którym prosiłem żyjących jeszcze świadków o spisanie własnych przeżyć z Wołynia. Pani Helenka nie tylko, że własnoręcznie spisała osiem stron dużego formatu, ich treść została wpleciona w całość w powyższej pracy, ale jeszcze zaprosiła mnie do siebie na Dolny Śląsk. W liście z 05. 01. 2004 r. pisała do mnie tak: *„Panie Sławku nie wiem, czy dobrze napisałam, ale to już tyle lat, to niektóre rzeczy się zapomina. A te które dobrze pamiętam, to znowu płacę i nie mogę mówić, czy pisać, jak mówił pan, że przyjedzie to jeszcze porozmawiamy, na tem kończę. Jak by pan jechał z Wrocławia do Zielonej Góry przez Nową Sól, to dobrze by było żeby pan wstąpił do nas i żeby to było w dzień. Serdecznie pozdrawiam pana i wszystkich kogo znam. Helena Wójtowicz.”*

I rzeczywiście do Nowej Soli przybyłem 12. 03. 2004 r. jadąc od mojej babci Julii Marut ze wsi Piotrowice przez Jawor, Legnicę i Polkowice. Okazało się, że pani Helenka mieszka blisko stacji PKP i PKS, tak że bez większych trudności znalazłem jej dom i zostałem miło przyjęty. Wieczorem poznaliśmy się lepiej, nawet nieco napisaliśmy, potem ja udałem się na spoczynek. Następnego dnia rano, udaliśmy się z panią Helenką na mszę świętą, do jej Kościoła parafialnego p.w. św. Michała Archanioła. Potem pisaliśmy niemal cały dzień, jedynie ok. godziny 14.00 pobiegłem

w ramach relaxu nad Odrę, a jest tam naprawdę pięknie. Szczególnie dużo radości sprawiły mi łabędzie, takie bielusińskie i łagodne, a przecie piękne i duże to ptaki.

Pierwszy raz w swoim życiu zobaczyłem, jak **łabędź w bajkowy sposób, wzbija się z wody w powietrze, jak mając majestatycznie rozpostarte skrzydła leci, swoimi stopami jeszcze niejako biegnąc po wodzie, jakby się podpierał. To jest po prostu wspaniałe! Przy czym krople wody spadają gęsto, nie tylko z jego piór, ale pobudzane są przez uderzenia stóp jego.** Taki widok w jasny słoneczny dzień, jak dziś może człowieka na nowo zachęcić do radości życia. Potem był już ten piękny lot łabędzia, który dobrze znałem wcześniej i znów wspaniałe lądowanie, kiedy sunie rozpędzony po wodzie. Jak rakieta tnąc jej fale, by na końcu, gdy już się zatrzyma, zrobić jeszcze to wspaniałe wyciągnięcie do góry swojej i tak już dość długiej łabędziej szyi. Opis ten zamieściłem w swoich notatkach z tamtych dni bowiem nie mogłem się oprzeć bezmiarowi piękna, który rozlał się w mojej duszy. Po latach zdecydowałem się na zamieszczenie go, także i w tym opracowaniu. Ile razy myślę bowiem dziś o pani Helenie Wójtowicz, żołnierzu 27 Wołyńskiej DP AK ps. „Dama”, to nieodzownie myśli moje biegną, ku spotkaniu z tym pięknym u dumnym ptakiem. Łabędziem który wzbija się właśnie do lotu, a stopami swymi biegnie niemal po odrzanych falach. **Skrzydła zaś jego, chwalebnie unoszą go do góry, wyżej i wyżej, tam gdzie jest już piękniej pani Helenko, tam gdzie nie ma już cierpienia i bólu, tam gdzie czeka panią Rząd Biały, odziany w światło naszego Pana.**

Wspomnienia pani Helenki pisaliśmy razem do 16. 03. 2004 r. , w tym czasie państwo Wójtowiczowie, podejmowali mnie najlepiej, jak umieli i niczego mi nie brakowało, z natury zresztą nie jestem specjalnie wybredny. Owocem zaś tej mrówczej pracy jest właśnie powyższe opracowanie, które staje się tym samym ważną częścią książki p.t. : „Prowadź Mario, Prowadź Nas Męczenników Wołynia.” . Potem przez Zieloną Górę udałem się do Szczecina, gdzie spotkałem się jeszcze z kilkoma osobami, w tym z płk Ludwikiem Świdą ps. „Teresiński” , mieszkańcem kolonii Teresin i żołnierzem 27 Wołyńskiej DP AK.

Cztery lata później 10. 12. 2008 r. pani Halinka Kozelko pisała do mnie z Tłumaczowa w Kotlinie Kłodzkiej: „*Pani Helenka Wójtowicz z d. Karbownik z Nowej Soli, odeszła już do Pana.*” . Czy było mi smutno, na pewno tak, ale dziś przeżywam radość bowiem Jej duch wciąż żyje pośród nas, a nawet zmartwychwstaje do Życia Wiecznego. Pani Helenka przez swoją radość życia i smak pięknego dzieciństwa, przez ból i cierpienie utraty najbliższych i przyjaciół, przez odważną służbę w szeregach bohaterskiej 27 Wołyńskiej DP AK, przez miłość małżeńską i matczyną, przez zmuśną i ciężką pracę w powojennej, zniewolonej Polsce, przez osobiste świadectwo wiary i umiłowania do końca ojczyzny, rodziny i Kresów, pozostanie z nami już na zawsze, pozostanie w naszej pamięci żywa i obecna. A te powyższe wspomnienia są tego znakiem najwymowniejszym i pieczęcią wieczną.

PRZEZ SWOJĄ WYTRWAŁOŚĆ OCALIŁA PAMIĘĆ

Pani Helenka całe życie pamiętała, jak sama mi wyznała, o swoim szwagrze Stanisławie Rokickim: „*[...] To był ostatni raz jak go widziałam, od tego dnia nie mamy o nim żadnych wieści, może zaginął na wojnie, a może żyje jeszcze gdzieś w Polsce. [...]*” . Tymczasem pan Stanisław Rokicki nie zginął, ale przeżył II wojnę światową i powrócił do Lutkowa, a obecnie mieszka i żyje w Tarnowie. Los bywa zatem bardzo okrutny, ale potrafi nas też, niekiedy i miło zaskoczyć. Szkoda, że nie jest dane pani Helenie, przeczytać maila, który otrzymałem 11. 03. 2011 r. , oto jego traeseć: „*Nazywam się Zbigniew Rokicki, jestem synem Jana Rokickiego. Przeczytałem w internecie wspomnienia pani Marii Roch z Ludmiłpola na Wołyniu i pozwoliłem*

sobie na sprostowanie genealogii naszej rodziny. W pozycji „D – 4” (Dom 4) – wyszczególniona jest moja babcia Maria (a nie Franciszka) Rokicka z domu Sawa, jej mąż to Kazimierz Rokicki, który zmarł 14. 08. 1939 r. w Ludmiłpolu. Maria i Kazimierz Rokiccy mieli trzech synów: Jana, Stanisława i Waldemara oraz trzy córki: Walerię, Adelę i Helenę. Żyjący do dnia dzisiejszego to mój tato Jan Rokicki i stryj Stanisław Rokicki. Reszta naszej rodziny została wymordowana w dniu 29. 08. 1943 r. we wsi Ludmiłpol na Wołyniu przez Ukraińców. Mój tato ocalał bowiem został wcielony do Armii Sowieckiej, a potem zesłany na Sybir. Wrócił do Polski wraz I Dywizją im. Tadeusza Kościuszki, obecnie mieszka w Gdańsku i ma 92 lata. Stryj Stanisław Rokicki wrócił do Lutkowa, a obecnie mieszka w Tarnowie i liczy już sobie 89 lat. Będąc młodym chłopcem, rok rocznie jeździłem wraz z rodzicami do stryja Stanisława, mieszkającego w Lutkowie. Natomiast w Dubkowicach odwiedzaliśmy Stanisława i Józefę Roch z domu Bąk, była to druga taka nasza rodzina i byliśmy z nią bardzo zaprzyjaźnieni. Pan Stanisław Roch często opowiadał mi o rodzinie i przeżyciach związanych z pobytem w Ludmiłpolu oraz o późniejszym powrocie do Dubkowic. Tak w telegraficznym skrócie opisałem losy mojej rodziny. Pozdrawiam. Zbigniew Rokicki.”.

ZIARKO DO ZIARKA I ZBIERZE SIĘ MIARKA

Pewne partie powyższych wspomnień, zostały spisane już w roku 2004, aby rok później stanowić, ważny rozdział książki: „Prowadź Mario Prowadź Nas Męczenników Wołynia” , której drugą wersję ukończyłem w maju 2005 r. w Zamościu. Egzemplarze książki przesłałem do kilku ważnych archiwów w Polsce, w tym na Jasną Górę w Częstochowie oraz na Katolicki Uniwersytet Lubelski w Lublinie (na KUL w 2009 r. , jako mój protest przeciwko nadaniu prezydentowi Ukrainy Wiktorowi Juszczenko tytułu doktora h. c.). Całość wspomnień w powyższym wymiarze, zostaje opracowana i ukończona siedem lat później: 12. 06. 2011 r. w Glasgow w Szkocji, w Uroczystość Zesłania Ducha Świętego.

Pozostaje w kontakcie z wieloma osobami z Polski, które wciąż nadsyłają swoje relacje i uzupełniają ważne informacje o losach swoich najbliższych, na których wspomnienia natrafili w Internecie. Osoby te mając dostęp do nowych, nieznanych mi jeszcze faktów, nasyłają bardzo cenne materiały, które ja uważnie zamieszczam w książce. I tak, z Bożą pomocą, wciąż rozrasta się, bezcenna praca: „Prowadź Mario Prowadź Nas Męczenników Wołynia” , o losach mieszkańców katolickiej parafii Narodzenia Najświętszej Marii Panny w Swojczowie, podczas ostatniej II wojny światowej.

Powyższe wspomnienia pani Heleny Wójtowicz z domu Karbowski zostały opracowane na użytek internetu. Zdaję sobie sprawę, że i to opracowanie nie jest jeszcze w pełni profesjonalne, ale na pewno bardziej dostępne dla potencjalnego czytelnika, a przez to, więcej użyteczne. Pragnę w ten sposób także, gorąco zachęcić wszystkich, żyjących jeszcze parafian ze Swojczowa i okolic, ale nie tylko, także z całego Wołynia i Kresów do spisania swoich wspomnień, przeżyć i doświadczeń z tamtych jakże pięknych, a potem jakże dramatycznych lat. Raz dlatego, by dziedzictwo i ciężka praca naszych przodków, nigdy nie była puszczone w niepamięć, a dwa by Ci wszyscy, którzy pozostali tam już na zawsze, w końcu doczekali się choćby, prostego Krzyża katolickiego na swojej, jakże często zapomnianej już dziś mogile.

Mgr historii
Sławomir Tomasz Roch